



Autor: Grento YTP

Prereading/korekta: Sun, RedMad

Rozdział 10 – Iluzjonista

1

Pancernik po spotkaniu ze sztuką Rarity doznał takiego szoku, że nie był w stanie już przewodzić bandytami na Wielkich Bagnach. Zrezygnował i całkowicie się wycofał, a następnie zamknął się w sobie. Nie był w stanie opowiedzieć nikomu o tym, co tam zobaczył, z resztą; kto by mu uwierzył? Po zwierzeniu się ze swoich przeżyć najbliższemu przyjacielowi, został uznany przez niego za lekko szurniętego. Oczywiście wszelkie dowody gdzieś zniknęły. Myślał, że pewnie Rarity je ukryła, a może po prostu oszalał i to wszystko nie było prawdą.

W końcu ktoś uznał, że trzeba było zrobić porządek z tym wszystkim. Rarity coraz bardziej się panoszyła po obozie, pogardzając wszystkimi bez wyjątku. Straciła też ochronę Mnicha, a następnie Pancernika. Jeden z bandytów o przydomku Kikut, miał wyrzucić młodą pannicę z zajmowanego przez nią pokoju. Nie zaprzętał sobie głowy uprzejmościami; wszedł do środka bez pukania, bez jakiegokolwiek zapowiedzi swojego nadejścia. Od razu zanurkował w gęstą woń perfum, zmieszanych ze stęchlizną, wonią padliny. Zemdliło go, ale na całe szczęście Rarity siedziała parę metrów od niego, pod brudnym oknem, odwrócona tyłem. Nie poruszała się. Jedyne jej przeraźliwie chuda ręką wystawała poza oparcie fotelu.

– No wstawaj, wstawaj. Trzeba się zbierać.

Rarity nie odpowiadała. Nawet nie drgnęła. Kikut westchnął poirytowany i już miał zrobić krok przed siebie, gdy nagle zamarł w połowie kroku. Coś połyskiwało w mdłym świetle wdzierającym się przez szczeliny desek, którymi zabite były okna. To było coś białego, kulistego. Kikut zmrużył oczy. Przypatrywał się temu czemuś przez parę sekund, po czym pokręcił znacząco głową. *Nie, to niemożliwe*, pomyślał. Parkiet zatrzeszczał pod jego ciężarem, gdy ostrożnie stawiał kolejne kroki. Zwalniał wraz z każdym przebytym metrem,

tak jakby się bał odkryć prawdę; jakby nie chciał zobaczyć, co tam zastanie. Coś pękło pod jego podeszwą, rozprysło się jak soczysty pomidor, na który ktoś nadepnął. Podniósł nogę i z obrzydzeniem patrzył, jak dziwna ciecz spływała z jego buta. Znajdował się już znacznie bliżej Rarity, która wciąż nie reagowała w jakikolwiek sposób. Dokładnie tak, jakby spała lub nie żyła. Jej wystająca, zwiędła ręka, nabrała niezdrowego, zielonego koloru, z wykwitaniem purpurowych plam na obwisłej skórze. To nie była delikatna ręka młodej dziewczyny, tylko umierającej staruszki, zżeranej przez najpaskudniejszą chorobę.

Kikut spojrział w dół. Potwierdziły się wcześniejsze obawy. To była gałka oczna. Wpatrywała się prosto w niego. A to, na co wcześniej nadepnął? Bandyta odwrócił się i wybiegł natychmiast na zewnątrz.

– Nie kurwa, ja tam dalej nie idę... – wysapał, zatrzasnąwszy drzwi.

– Co ty robisz? – Dwóch innych bandytów, podszedło do niego, z niezadowoloną miną. Inni, kręcący się w pobliżu, spojrzeli z zainteresowaniem na przerażonego Kikuta.

– Coś tam jest... – wyjąkał, nie podnosząc na nikogo wzroku. – Sprawdźcie sami, ale mnie w to nie mieszajcie... to jest chore...

– Ale co takiego?

Kikut pokręcił tylko głową i mówił dalej, półgłosem, bardziej dla siebie.

– Widziałem ją jeszcze parę godzin temu...

Bandyci odsunęli go, nie zwracając uwagi na jego roztrzęsione szepty. Wkroczyli do środka i rzeczywiście, coś było nie tak. Jednak nie zatrzymali się tak jak Kikut, tylko podeszli znacznie, znacznie bliżej. Pożalowali tego od razu. Nigdy nie widzieli czegoś takiego, dlatego tak trudno było im tamten widok przyrównać do czegośkolwiek. To coś, co wylegiwało się w fotelu, nie mogło być Rarity, ale jednak...

Zdecydowano, że zawiną znalezione w niepotrzebne i tak prześcieradła, zwiążą i przygotują do spalenia. Nikt nie miał ochoty podchodzić do zawiniątka, które wyglądało jak świadectwo okrutnego morderstwa, które ktoś ukrył pod materiałem. Tym bardziej nikt nie chciał targać i przenosić tego własnymi rękami, więc ciągnięto słomki, aby wskazać pechowców, którzy musieli zająć się problemem. Przed ułożeniem stosu w pewnej odległości od placu maszynowego, pozostawili krwawe zawiniątka w pobliżu składowanego drewna na wielki stos. Nikt z nich nie wiedział, że są obserwowani.

Mnich, który oddzielił się od swoich ludzi, obserwował wszystko z pewnej odległości. Przywarł do ziemi, ukrywając się pomiędzy uschniętymi drzewami. Widział wszystko, oglądając swoich dawnych towarzyszy przez lornetkę oraz lunetę karabinu snajperskiego. Zauważył również kogoś, kto nie wyglądał na bandytę, a szedł swobodnie ku

bandytom, jakby nie spodziewał się jakiegokolwiek zagrożenia. Nie wyglądał ani na stereotypowego opryszka, ani na stalkera z jakiejś konkretnej frakcji. Ubrany w błękitno-białe spodnie Czystego Nieba, kurtkę, która wcześniej zapewne należała do kogoś z Powinności oraz hełm Monolitu. Oczywiście bandziory zareagowały momentalnie, karząc mu się zatrzymać i rzucić broń. Przybysz nie posłuchał ich. Nie schował broni. Wyjął jedynie swoje PDA i przekazał stróżującym przy wejściu bandytom. Po chwili absolutnej ciszy, jeden z nich krzyknął, domagając się, aby udowodnił swoją tożsamość. Przybysz wciąż milczał. Bez ostrzeżenia wystrzelił z broni prosto w głowę jednego ze strażników. Drugi w szoku porwał broń i wypalił parę razy. Znieruchomiał, gdy dostrzegł, że nie przynosi to żadnych efektów. W jakiś niezrozumiały dla niego sposób, przybyszowi nic się nie stało. Od tamtej pory bandyci bez zająknięcia usuwali się z drogi intruzowi.

Mnich również nie mógł zrozumieć, do czego doszło.

– Musimy uzupełnić szeregi – Odezwał się głos za nim.

Odwrócił się, wycelowali. Pocisk wystrzelił. Prześlizgnął obok ucha mężczyzny, stojącego tuż za Mnichem. Nawet się nie poruszył.

– Ale dziś wszyscy nerwowi... Nawet nie można się na spokojnie odezwać do kogoś...

– Ktoś ty?! – warknął Mnich, podnosząc się na kolana i próbując nie spuszczać obcego z celownika.

Uśmiech nie spelzł z twarzy mężczyzny, pomimo wcześniejszego pocisku, który przed chwilą śmignął tuż przy jego głowie, a ubrany był w podobnym stylu, jak wcześniej zauważony przez Obdzieracza mężczyzna, z tym, że posiadał przepaskę zasłaniającą mu lewe oko.

– Jestem Polipius i należę do mrocznych stalkerów, oczywiście.

– Mrocznych stalkerów? – zdziwił się Mnich, mrużąc oczy. – Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Nic dziwnego... – mruknął Polipius, skrobiąc paznokciami swój podbródek. – Nie jesteśmy zbyt... sławni, hehe, jeżeli tak to można ująć. Trudno się dziwić – wzruszył ramionami, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jego oko przymknęło się. – Raczej do tej pory się ukrywaliśmy.

– Więc co ty tu robisz? – spytał ochrypłym głosem.

– Och, to, czyli, co ja tu robię? – Twarz Polipiusa znów nabrała neutralnego wyrazu, po czym spojrzał w kierunku mężczyzny na placu maszynowym, który narzucił zawiniątko na swój bark. Kształt tego, co znajdował się w środku, bez złudzeń przypominało ludzkie

ciało. – Asystuję. Tak na wszelki wypadek. Ostatnio straciliśmy naszego członka, niejakiego Magistra. Przyznam szczerze, i tu pochylę głowę na znak mojej skruchy, że staliśmy się zbyt pewni siebie. Nasze nowe możliwości zawróciły nam w głowie. Ale to był tylko taki *false start*. Teraz się bardziej pilnujemy.

Zamilkł, po czym wystawił rękę ponad głowę w kierunku nadchodzącego człowieka, z białym zawiniątkiem przerzuconym przez ramię. Mnich odwrócił się nerwowo w stronę kolejnego intruza, po czym wycofali się tak, aby mieć na oku obydwu mężczyzn. Polipius, tak samo jak jego kompan, nie zwracali na to uwagi.

– Asystujesz, tylko w czym? Przed chwilą tamten koleś dostał całą serią z kilku metrów i nic mu się nie stało! Co tu się dzieje? – dopytywał Mnich.

Polipius popatrzył na niego tak, jakby na moment zapomniał o jego obecności.

– Ach, no wiesz, straciliśmy jednego z naszych, no to musimy jakoś zapełnić tę lukę. Chyba wspominałem o tym na samym początku, prawda? My bardzo lubimy cyfrę osiem. Tyłu właśnie powinno nas być, nie licząc Doktora. Ale co ważniejsze, przyszliśmy tu po pewien bardzo cenny artefakt.

Jednak to nie rozwiało wątpliwości Mnicha. W umyśle kłębiło mu się tyle myśli, tyle pytań, że nie był w stanie zdecydować, co co ma spytać. Po krótkim milczeniu, po prostu wypalił z tym, co akurat przyszło mu do głowy.

– Co jest w tym zawiniątku?

– Pusta skorupa, wcześniej znana jako *Rarity*.

– Co?! – wyszczerzył oczy, opuszczając z wrażenia broń nieustannie trzymaną w pogotowiu. – Ona nie żyje?!

– Nie żyje. W tym momencie to trup, przynajmniej dopóki nie dojdzie do reanimacji. Każdy z nas to przechodził, więc nie ma powodów do obaw.

– Czyli... że będzie żywa, tak? To niemożliwe... Chociaż przed chwilą zobaczyłem coś również nieprawdopodobnego – Oczy Mnicha rozświetlił błysk nadziei, który przebił się przez wcześniejszy szok i niedowierzanie. *Rarity nie żyje? To nie mogła być prawda...*

– Żywa? – zaśmiał się pod nosem Polipius, podchodząc do swojego towarzysza, który zdążył już do nich dotrzeć i poklepał zwisające zawiniątko. – Chyba tak. W sumie to sam nie wiem. Z pewnością będzie inna niż do tej pory. Znacznie lepsza. Całkiem przypadkiem dostała się w posiadanie artefaktu...

– Ten cholerny kamyk, który nosiła na szyi przez ten cały czas... – jęknął Mnich, bardziej do siebie niż do kogokolwiek z obecnych.

– Ooo, a więc wiesz o nim? – ucieszył się Polipius, po czym klasnął w ręce. – Cudownie. To Czarnobylił. Tak się nazywa.

– Czy ja o nim wiem? Ja go jej dałem w prezencie...

– Noo, więc spisałeś się wprost wyśmienicie. Prawda, Oktawiusie? – zwrócił się do rzeczzonego mężczyzny, jednak on nawet nie chciał zaszczyć go swoim spojrzeniem. – Och, głupiec ze mnie. Zapomniałem, że on nie potrafi mówić – szepnął konspiracyjnie Polipius, przykładając dłoń do ust. – Wycięli mu język, zanim stał się mrocznym stalkerem.

– No dobrze, a więc... – odchrząknął Mnich. Powoli, bez nerwów, zaczął się wycofywać. Cały czas miał na uwadze fakt, że stał przed nim człowiek prawdopodobnie odporny na broń palną, natomiast ten cały Polipius, pewnie był równie potężny. – Nic tu po mnie. Każdy przyszedł i wziął sobie to, co chciał. To ja już pójdę...

– Hmm... – zamyślił się na moment Polipius, zerkając na Mnicha. – Obawiam się, że na tym może stanąć pewna przeszkoda. Widzisz, tak fajnie nam się rozmawiało, że się trochę zapomniałem i powiedziałem za wiele – roześmiał się serdecznie, drapiąc tył głowy. Wyglądał na nieco zażenowanego swoim gadulstwem. – No ale trudno się powstrzymać, gdy za towarzysza ma się niemowę.

– Ale ja niczego... – zaczął przejętym głosem, jednak Polipius mu przerwał.

– Ale ty niczego nikomu nie powiesz? No oczywiście! Bo cóż innego miałoby się stać... Pewnie teraz mocno żałujesz tego, że znalazłeś się w tym miejscu, o tym czasie. Chciałbyś wyrzucić z siebie te wspomnienia i obudzić się jak gdyby nigdy nic... No ale, ja bym wolał mieć pewność, że nic nikomu nie powiesz. A taką pewność będę mieć gdy... no nie wiem... gdy będziesz martwy, nie? Chyba dobrze myślę?

Zimny pot spłynął po czole Mnicha. Przycisnął do siebie swoją snajperkę, tak jakby to miało mu dać ochronę.

– Chociaż... – kontynuował Polipius, obracając się w miejscu, jak gdyby właśnie rozważał coś bardzo ważnego. – Może właśnie tak się stanie. Zapomnisz o wszystkim i nie trzeba będzie cię zabijać. Mógłby użyć do tego mojego Oka...

Z zadowoleniem zacisnął prawą powiekę, a lewą dłonią, powoli, z czcią, jak podczas odsłaniania świętego obrazu, zsunął opaskę. Wyłupiasta, ledwo mieszcząca się w oczodole gałka oczna emanowała wściekłą pomarańczą. Zawirowała wokół, po czym zwróciła się wprost na wpatzonego w to wszystko mężczyznę. Mnich zamarł na moment jak posągi z lodu. Podobnie się również czuł. Po chwili, tak po prostu, wrzasnął w przerażeniu, wyrzucając broń w powietrze. Odwrócił się i pobiegł w popłochu, przewracając się po drodze

o wszelkie nierówności. W jednym momencie stracił jakikolwiek rozsądek. Polipius śmiał się wniebogłosy.

– Co? To już? Tak szybko? Ciekawe, co zobaczył. Nie potrafię kontrolować tych iluzji. Muszę nad tym popracować. Jednak zabranie tego oka tamtemu pajakowi, to był dobry pomysł, no nie, Oktawiusie?

– Yhhhryyy mmmrrrrggghh... – wycharczał, strosząc groźnie brwi.

– Och, no dobra. Już nie gadaj tak, marudo.

Polipius mógł z nieukrywaną ulgą wreszcie powrócić do elektrowni, serca Monolitu. Odzyskali niezwykle rzadki kryształ Czarnobylitu, a przy okazji zabrali ze sobą ciało młodej kobiety, które najpewniej będzie się idealnie nadawać na mrocznego stalkera. Nie każdy był w stanie opierać się tak długo wpływowi kryształowego artefaktu. Wiedział, że umysł człowieka zostaje poddany trudniej próbie, której większość nie przechodziła. Jeszcze częściej zwłoki, które miały zostać powstać z martwych, na powrót ożywały, jednak stawały się jedynie bezmyślną kupą mięsa, bezmyślną bardziej niż zombie. Za sukces można było uznać człowieka, który powstał z martwych, zachował świadomość oraz zyskał niezwykle właściwości, wynikające z zupełnie innej budowy komórkowej jego organizmu. A nawet jeśli ktoś taki tracił rozum przez Czarnobylit, to zawsze pozostawała regresja umysłu, która mogła z łatwością nagiąć osobowość delikwenta do własnej woli. Polipius już wcześniej słyszał o okrutnych występkach Rarity. Gdy tylko zostanie przywrócona do życia, być może stanie się jeszcze gorsza. Nie stanowiło to jednak problemu na Monolitu. Każdy mroczny stalker pozostawał pod kontrolą Świadomości-Z, podobnie jak fanatycy.

Po przejściu wzdłuż całej Zony, po zobaczeniu elektrowni i przejściu przez most obsadzony przez fanatyków, oraz po oddaniu Czarnobylitu jak również ciała Rarity w ręce Doktora, Polipius nareszcie mógł przyznać, że będzie miał trochę czasu dla siebie. Swoją misję wykonał i to najbardziej obchodziło go w tamtym momencie. Mroczni stalkerzy nie mieli nic szczególnego do roboty w wolnym czasie. Przesiadali w podziemiach, we wspólnym pokoju pozbawionym wszelkich wygód. Mroczni stalkerzy nie musieli spać, jeść i wykonywać innych czynności fizjologicznych, dlatego nic na nich nie czekało, oprócz rozkazów. Pomimo tego, Polipius był w stanie usiąść na krześle przy ścianie, po tym, gdy tylko wkroczył do swojego szarego, brudnego pokoju z odrapanymi ścianami. W środku zastał jeszcze dwóch innych mrocznych stalkerów. Jego towarzysz-niemowa usiadł sztywno obok niego.

No cóż... – pomyślał Polipius, odpierając smętnie głowę. – Czas zanudzić się na śmierć. To jest dopiero życie...

Zastanawiał się nad tym, czy inni mroczni stalkerzy również miewali takie myśli. Z żadnym jeszcze nie rozmawiał. Jego towarzysz nie mówił, a pozostałych nie miał okazji poznać. Wydawali się być tak bardzo niezainteresowani wszystkim wokół, jak to tylko było możliwe. Polipius spojrzał na jednego z mrocznych, który akurat leżał bezwładnie pod ścianą, z opartą o nią głową. Nazywał się Skorpion. Był krótko ostrzyżonym blondynem o jasnych, zielonych oczach. Kolejna ofiara, którą załapano i wcielono w szeregi Monolitu. Bezmyślnie patrzył przed siebie, a mgła obojętności zasnuwała jego spojrzenie. Lecz po chwili jego ciało poruszyło się, mięśnie karku drgnęły i powoli obróciły twarz Skorpiona w kierunku Polipiusa. Ich oczy spotkały się. Polipius odchylił się niespokojnie w tył na swoim krześle. Przeszedł go dreszcz. O czymkolwiek ten drugi stalker myślał, prawdopodobnie nie było niczym dobrym.

– Coś się stało? – Skorpion spytał po chwili. Jego głos był wyczyszczony z emocji.

Polipius pokręcił głową.

– Nie – odparł szybko. – Tak tylko sobie... rozmyślam.

– O mnie? Weź przestań... – machnął ręką – ja już przestałem nad czymkolwiek rozmyślać. To bez sensu.

Polipius odwrócił krzesło w jego stronę i oparł się o siedzenie.

– Zastanawiałem się nad tym, czy inni mroczni stalkerzy też mają jakiegokolwiek przemyślenia, czy może jednak są już całkiem... puści.

W odpowiedzi Skorpion wskazał palcem na innego mrocznego stalkera, który siedział skulony w kącie pokoju. Jedynie jego kolana i zwisająca głowa były widoczne w mrocznym zakamarku.

– To Ptasznik – oznajmił Skorpion – on kompletnie już o niczym nie myśli. To jedynie maszyna do zabijania. Resztę z nas pochłonęły fanatyzm i mroczne żądze, które nimi kierują. Właściwie to ja i ty mamy najgorzej.

– Dlaczego? – zainteresował się Polipius.

– Bo pozostała w nas częśćka z dawnych czasów. Ta częśćka, która jest nieustannie rozdzierana i krwawiąca. Która chce się wydostać z tego ciała, które jest dla niej więzieniem. Kiedyś należałem do Wolności, ale zostałem ranny, a potem przechwycili mnie fanatycy i poddali regresji umysłu. Zaprogramowali mnie tak, abym im służył. Wiele razy myślałem nad tym, aby ze sobą skończyć, ale nie mogę się do tego zmusić. Nie chodzi o strach; po prostu nie mogę tego zrobić. Coś blokuje moje samobójcze próby. Coś, co wszczepili w mój umysł.

– Ja nigdy nie próbowałem się zabić – przyznał Polipius. – Ale też chciałbym móc robić to, co chcę... Chyba jeszcze Magister jest bardziej ogarnięty.

Skorpion zaśmiał się pod nosem i pokręcił pogardliwie głową.

– Magister to kutwa. Zwykła psia końcowa, która mnie wkurwia tym swoim wyszukany słownictwem. Następnym razem, jak go spotkam, to postaram się go doprowadzić do szału – uśmiechnął się złośliwie. – Ale wracając do tematu, to mam nadzieję, że kiedyś będziemy wolni. Doktor uczynił nas nieśmiertelnymi, a do tego praktycznie niezniszczalnym, no chyba, że ktoś się bardzo postara, a on cały czas pracuje nad ulepszaniem mrocznych stalkerów. Mamy szansę doczekać tych czasów...

– Nie chcę, żeby ktoś jeszcze musiał przez to przechodzić... – westchnął Polipius.

Skorpion uśmiechnął się gorzko, pokiwał głową i wyciągnął nogi przed siebie.

– To nie dobrze się składa. Za niedługo będziesz musiał znów wyruszyć ze swoim towarzyszem w poszukiwaniu niejakiej Fluttershy. Magister nawalił. Twoim zadaniem będzie ją zabić i przynieść tutaj. Doktor chce zrobić z niej użytek.

– Ech, szlag by to – westchnął Polipius, wstając na równe nogi. – Ale chyba lepiej już być w trasie, niż tu gnić. Pójdę przemyć twarz, a potem dowiem się więcej o tym całym polowaniu. Ciebie też mogliby zagonić do roboty.

Skorpion jedynie wzruszył ramionami i powrócił do nudnej beczynności. Polipius przeszedł przez pokój i wszedł do osobnego, ciasnego pomieszczenia, które najpewniej kiedyś było łazienką. Po dawnym wyposażeniu pozostało jedynie rozbite lustro, wciąż trzymające się ściany, oraz zniszczony, zakurzony sedes, który nie gościł nikogo już od bardzo dawna. Mroczny stalker zamknął dokładnie za sobą drzwi i nachylił się nad umywalką. Woda wciąż kapiała z kranu. W tamtym momencie był wdzięczny za to, że Monolit zadbał o instalacje wodne. Odkręcił kurek. Szumiący strumień mętnej wody wypłynął niechętnie leniwym strumieniem, ale to wystarczało.

Polipius spojrzał w swoje zniekształcone odbicia, ale przede wszystkim skoncentrował swój wzrok na opasce na swoim oku. Delikatnie odwinął materiał, odsłaniając Oko Iluzjonisty, jedyną część ciała, której nie otrzymał od Doktora. Pomarańczowa gałka oczna wpatrywała się w niego z wrogością. Iluzjonista ponoć posiadał setki takich oczu. Ich skoncentrowane spojrzenie musiało wywoływać przerażające wrażenie. Mutant ten potrafił wpływać na umysły niczego się niespodziewających ofiar i nagiąć ich wolę wedle własnego uznania. Potrafił ich hipnotyzować. Lecz teraz to Polipius był posiadaczem tego interesującego organu.

Postanowił, że spróbuje.

Skoncentrował resztki swojej woli i wpatrywał się w odbicie przerośniętej gałki ocznej, wytrzeszczając prawe oko. Marzył o wolności, o swobodzie. Zebrał w sobie całą nienawiść do Monolitu, która paliła go od środka. Myślał tylko i wyłącznie o zemście. Wyobrażał sobie, jak niewidzialne kajdany odpadają od niego, uwalniając jego ciało od ciężaru. Myśli nabierały tempa. Wspomnienia powracały. Obraz zamazywał się i zaczął blednąć...

Nawet nie zauważył, kiedy upadł na podłogę. Rozejrzał się po obskurnej łazience. Wyływający strumień wody wciąż lekko szumiał. Mroczny stalker otrząsnął się. Chyba nie minęło dużo czasu. Nikt jeszcze nie dobijał się do drzwi. Polipius czym prędzej wstał, wyciągnął nóż, odwinął rękaw i... zawahał się. Chciał się zranić, czego nie mógłby zrobić, pozostając pod kontrolą Monolitu. Pokręcił głową. Tym razem bardziej zdecydowanym ruchem uniósł nóż i przebił swoją rękę. Ostrze wysunęło się z drugiej strony. Twarz mrocznego stalkera rozdarł niemalże szaleńczy uśmiech. Miał ochotę wybuchnąć śmiechem, ale nie mógł tego zrobić w tym miejscu. Wyciągnął ostrze z ciała. Z fascynacją przyglądał się, jak rana goi się w zastraszającym tempie. Po chwili nie pozostała już nawet blizna.

Ale pozostał ból. To było dziwne. Jako mroczny stalker nie czuł bólu. Polipius dotknął palcem swojej skroni, tuż przy Oku Iluzjonisty. Spojrzał w lustro. Pomarańczowa gałka oczna zdawała się być opuchnięta i przekrwiona. Nieznośne pieczenie wewnątrz oczodołu wzbierało na sile.

– Chyba nie mogę go nadwyręzać – szepnął do siebie, pochylając się w kierunku odbicia.

Trochę go to zawiodło. W swojej głowie planował już uwolnienie reszty mrocznych stalkerów, ale to najpewniej będzie musiało zaczekać. Ale nie przejmował się tym tak bardzo. Jego oko z pewnością się zregeneruje, w końcu należało do mutanta. Uwolnienie reszty mrocznych stalkerów było tylko kwestią czasu.

1

Fluttershy w ciągu ostatniej godziny ponownie stała się cichsza niż zwykle, jednak przyczyna tego zachowania była inna niż przygnębienie. Było wręcz odwrotnie. Sunset, która od jakiegoś czasu zdążyła się rozweselić, oczywiście nawet nie musiała specjalnie się nad tym zastanawiać; to za sprawą Codrisda Fluttershy zaczęła się tak zachowywać. Zawsze, czy

był w pobliżu, czy nie; nieśmiałość rosła. Przyglądała mu się zachwyconym spojrzeniem, od razu je odwracając, gdy obiekt westchnień spojrział w jej kierunku. Nawet w tamtej chwili, gdy Żwawy, Młody, Sunset oraz stalker z Wolność o przydomku Dżuma grali w chińczyka, Fluttershy siedziała obok, wyraźnie nieobecna. Nie chciała z nimi zagrać; wolała patrzeć, jak robią to inni, a raczej, wolała pobujać w obłokach.

– Haha, jestem pierwszy! – ogłosił Młody, przeskakując swoim ostatnim z czterech pionków po planszy, aż do ostatniego, wolnego pola.

– No nieźle, nieźle – pokiwał głową stalker Dżuma, który rozłożył się wygodnie na boku w pobliżu ogniska, żując suchą bułkę, popijaną od czasu do czasu łykiem gorzałki. – No to zobaczymy, czy panu Żwawemu wreszcie uda się wreszcie wyjść z pozycji startowej, heh...

– Nie no, pewnie... – burknął niezadowolony, przygotowując się do rzutu. Wyrzucenie szóstki pozwoliłoby mu wreszcie opuścić tak zwany *dom*, w którym zaczyna każdy pionek gracza. Każdemu się to już udało, z różnym szczęściem, ale jednak już jakiś czas temu. Żwawy nie był w stanie wyrzucić tej przeklętej szóstki. – No to do dzieła. Chcę zobaczyć szósteczkę... – szepnął do siebie, potrząsnął kostką w rękach i wyrzucił ją. Kość przeturlała się po planszy i wypadła poza nią. Żwawy zamarł na moment. Już widział oczami wyobraźni sześć oczek, które wreszcie pozwolą mu uwolnić się z tej żenującej sytuacji, wreszcie będzie miał szansę przegonić wszystkich innych i zająć drugie miejsce, wreszcie...

No niestety, zamiast sześciu oczek, wypadły tylko dwa. Wszyscy wokół zachichotali, oprócz Fluttershy, która myślami była gdzie indziej.

– Ale to i tak lepiej – uśmiechnął się Dżuma. – Do tej pory wyrzucałeś same jedyńki, a teraz proszę; dwójka.

– Nie wierzę, nie wierzę... – powtarzał smętnie Żwawy, wpatrując się gniewnie w kostkę do grania. – Przecież to nieprawdopodobne!

– Mylisz się. To jest właśnie prawo prawdopodobieństwa – powiedział Dżuma i upił jeden łyk z piersiówki. – Szanse na wyrzucenie szóstki są zawsze takie same. Nieważne ile razy rzucisz.

– No ale chyba ktoś, kto może rzucać kością dziesięć razy ma więcej prawdopodobieństwa, że wyrzuci tę cholerną szóstkę, niż ktoś, kto może rzucić jeden raz, nie?

– To się zgadza... – mruknął Dżuma, wycierając zaczerwieniony nos w rękaw. – Jednak kolejne rzuty nie zwiększają szans pojedynczych prób na uzyskanie wymaganego wyniku. Ty po prostu miałeś pecha i tyle. Mógłbyś nawet próbować milion razy i nigdy nie mieć sześciu oczek. Nie jest to niemożliwe.

– No bo ja wypadłem z wprawy. Dawno już nie grałem w tę grę...

– Z wprawy? – Sunset popatrzyła na niego rozbawiona, sama zabierając się do rzutu.
– Przecież to tylko kwestia szczęścia – Chuchnęła dwa razy na trzymaną w dłoni kostkę i rzuciła nią. Wypadła trójka, czyli dokładnie to, czego potrzebowała. Przeniosła pionek na ostatnie niezajęte pole i z radością mogła ogłosić się zwyciężczynią drugiego miejsca. – Widzisz, tak to się robi – uśmiechnęła się z przekąsem, przeciągając swoje plecy po dłuższym leżeniu.

– Mówi się, że ktoś, kto nie ma szczęścia w kościach, ma szczęście w miłości – rzekł Dżuma, biorąc do ręki kostkę. – Pan Żwawy nie powinien narzekać na brak miłości, więc Sunset... no lepiej przyjrzyj się swojemu chłopakowi, czy tej miłości nie ma zbyt wiele.

Oboje się roześmiali. Sunset złapała Żwawego za rękę i oparła głowę o jego bark.

– Oj, to prawda! Nigdy nie wiadomo, skąd może nadejść wróg. Spokojna głowa. Już ja go przypilnuję – wyszczerzyła się zadziornie. – A tak przy okazji, to mógłbyś coś zrobić z tymi włosami, mój drogi. Jak dotrzemy do jakiegoś cywilizowanego miejsca, to się ostrzyżesz.

– Zostaw... – burknął niemrawo Żwawy, gdy Sunset zaczęła zmierzwić jego grzywkę.

– Marudzisz zupełnie jak dziecko!

Wszyscy ponownie się roześmiali, oprócz Fluttershy, której oczy przymykały się coraz częściej, a wszelkie odgłosy otoczenia docierały do niej zniekształcone, jakby pochodziły z oddali. Powieki osuwały się ciężko, zupełnie tak, jakby ktoś przywiązał do nich ciężarki. Zapadała w sen...

Jednak gdy strumień jej świadomości niemalże zgasł, poczuła charakterystyczne łaskotanie na ręce. Nie musiała zerkać w tamtym kierunku, żeby odgadnąć, że to owad, a raczej pająk przechadza się po jej skórze. Pająków się nie bała; nie bała się żadnych zwierząt. Wszystkie starała się traktować z takim samym szacunkiem, choć nie było to takie proste. Po prostu niektóre zwierzątki mogłyby być słodkie, a inne... mniej słodkie, bo po prostu taka była ich natura. Musiały tak funkcjonować, żeby żyć. Natomiast pająk, który po niej pełzał zachowywał się dziwnie. Za nim kroczyły kolejne pająki, przeróżne; włochate, na cienkich nóżkach, z grubymi odwłokami oraz z różnymi wzorkami na swoich ciałach. Cały strumień tych stworzeń. Fluttershy dostrzegła, że uciekają z budynków oraz z całej okolicy, łącząc się szeregi i maszerując. Ale gdzie? Fluttershy odwróciła się i spojrzała za siebie. Wszelkie pajęczaki zmierzały w kierunku lasu, jakby na wezwanie swojego władcy, który zadał w mosiężny róg, aby jego sługi przybyły.

Zachowanie pajaków nie było normalne. Nigdy o czymś takim nie słyszała. Od razu przypomniała sobie o Iluzjoniście, ogromnym, włochatym pająku, z odnóżami grubymi jak pnie wiekowych drzew, z gronem pomarańczowych ślepi zdolnych zahipnotyzować i przejąć kontrolę nad umysłem człowieka. Niewiele istniało w Zonie stworzeń zdolnych do panowania nad czyimiś zmysłami, jednak za każdym razem spotkanie takie zazwyczaj kończyło się śmiercią dla stalkera. Z notatek oraz opowieści Doktora słyszała już o kontrolerach; tajemniczych, humanoidalnych mutantach, mogących przejąć umysł człowieka i nawrócić stalkerów przeciwko sobie tak, aby powybijali się nawzajem. Istoty takie jak Iluzjonista były niepowtarzalne, były relikdami, pojedynczymi anomaliami wśród innych anomalii. Kontrola umysłu Iluzjonisty różniła się od tej, którą posiadali kontrolerzy. Z tego, co Fluttershy udało się dowiedzieć i samej rozgryźć; polega ona bardziej na hipnozie, iluzji, na manipulowaniu zmysłami człowieka w ten sposób, że był w stanie decydować o tym, co takiego ofiara ma zobaczyć, usłyszeć lub poczuć. Z tego co opowiadał Żwawy, można było również się dowiedzieć, że Iluzjonista potrafi zamknąć czyjąś świadomość w więzieniu. Gdzie będzie przeżywać męki bez końca.

Fluttershy przypomniała sobie jeszcze o czymś; tamten pajak na odchodne powiedział im, że tak łatwo nie odpuści. W Czerwonym Lesie Everfree zawsze panował mrok, to tam zawsze zerował. Na horyzoncie przygasła różowa luna. Gwiazdy się wyostrzały. Nadchodziła noc. Pora polowania dla takich potworów jak Iluzjonista. Przeszedł ją dreszcz. Ukradkiem sięgnęła do kieszeni, wyjęła tabletki i pochłonęła kilka na raz. Po chwili jej umysł uspokoił się. Stał się lekki i otępiały.

Znów rozbrzmiały śmiechy przy ognisku. Młody napił się trochę gorzały, która wykręciła mu twarz niemiłosiernie. Sunset nie była zadowolona z tego, że Dżuma oraz Żwawy pozwolili mu pić tak mocny alkohol. Wszyscy wyglądali na szczęśliwych i zrelaksowanych. Fluttershy bardzo chciała, żeby tak pozostało, jednak miała przeczucie, że nie potrwa to długo.

Już miała otworzyć usta, żeby nieśmiało wtrącić się do rozmowy i opowiedzieć pozostałym o swoich obawach, gdy nagle, gdzieś w pobliżu, rozległ się trzask i szumienie nastawianego radia. Jeden ze stalkerów majstrował coś przy pokrętłach, próbując złapać odpowiednią częstotliwość, co udawało mu się na krótkie momenty, gdy przez ułamki sekund odzywał się czyjś głos. W końcu zdołał odpowiednio dostroić urządzenie. Głośniki zatrzeszczały, a membrana zadrżała pod wpływem [leżącej muzyki](#). Najwidoczniej ktoś, kto wcześniej przemawiał, skończył swoją transmisję. Wszyscy od razu rozpoznali motyw przewodni leżący w radiu – Powinność.

Po upływie kilku minut muzyka przycichła i wtedy usłyszeli buczenie włączonego mikrofonu. Z radia przemówił nadęty, oficjalny ton głosu, który skrywał gdzieś w sobie nutkę ironii oraz pogardy.

Dobry wieczór, stalkerzy. Nazywam się Neighsay, Kanclerz Neighsay i jestem głównodowodzącym frakcji o nazwie Powinność...

– O nie... – jęknął Dżuma, wywracając oczami. – Naprawdę musimy słuchać tego pajaca? Wyłącz to.

Jeden ze stalkerów z Wolności przyłożył palec do pokrętła, aby nastawić radio na inną częstotliwość, jednak ostatecznie nie zrobił tego. Powstrzymał go ostry, kobiecy głos.

– Stój! – rozkazała pani Deliktywa. Siedziała nieopodal na miękkim kocu, którym pokryła wycięty pień do siedzenia. Światło ogniska ledwo oświetlało jej twarz, lecz nawet w półmroku każdy mógł zobaczyć jej lśniące oczy.. – Wysłuchamy tego.

Dżuma westchnął poirytowany, jednak nie zgłosił sprzeciwu. Po chwili głos z radia rozbrzmiał ponownie.

... powinniście zapamiętać tę częstotliwość nadawania, gdyż nie planujemy się stąd ruszyć. To pierwszy raz odkąd Powinność zdołała zająć tak znaczący teren Zony, ale tę wiadomość kierujemy przede wszystkim do stalkerów przebywających na ziemiach od granicy Wielkich Bagien, przez Czerwony Las Everfree, jak również okoliczne wioski, do wschodniej strony Canterlot City; tereny wcześniej wymienione należą teraz do Powinności. Każdy, kto przebywa na tych ziemiach, musi się udać do najbliższej placówki naszych stalkerów lub opuścić te tereny czym prędzej. Jednak najlepszą opcją jest przyłączenie się do naszej frakcji. Zona nieustannie poszerza swoje granice, zagrażając światu zewnętrznemu. Obowiązkiem każdego z nas jest powstrzymanie tej katastrofy. Nie słuchajcie się głupców z Wolności, którym wydaje się, że możliwa jest koegzystencja z Zoną i beztroskie jej badanie. Musimy z tym walczyć, a nie nakładać kolejne swobody i rozszerzać dostęp do tego, co tu się dzieje, opinii publicznej. Wolność nie ma pojęcia, z czym się mierzy, a ich beztroskie zachowanie jest jednoznacznym dowodem tego, że są ograniczeni...

– Dobra, wyłącz to, bo już mnie głowa boli – westchnęła kobieta, przykładając dłoń do swojego czoła. – Z pewnością będą to jeszcze powtarzać w kółko i w kółko. Wystarczy na dzisiaj tego zrzędzenia.

– Co za kutafon! – burknął Dżuma, wstając na nogi po dłuższym leżeniu. – Że niby te ziemie należą teraz do niego? A takiego chuja! Chyba zapomniał, że jeszcze my tutaj jesteśmy. Co za tupet...

– Chyba będziemy musieli na jakiś czas podłączyć się do Wolność – powiedział Żwawy, zwracając się do Sunset oraz Młodego. – Dobrze by było mieć przy sobie kogoś, kto mógłby nam ofiarować wsparcie...

– Dobrze, że o tym wspominasz, Żwawy.

Dżuma uśmiechnął się zadziornie i wgramoli się na nogi. Falujące płomienie oświetlały od dołu jego wyraz twarzy, który nie spodobał się Żwawemu.

– Tak? A dlaczego?

– Bo zapomniałem wam o czymś powiedzieć. Wszystko, co tyczy się Wolności, tyczy się również was. W tym momencie jesteście pod naszą władzą...

Na te słowa, Żwawy powstał powoli, stając tuż przed Dżumą. Wpatrywali się w siebie jak para zwierząt gotowych rzucić się sobie do gardeł.

– A niby z jakiej racji mamy wam usługiwać? Jesteśmy wolnymi stalkerami. Niezrzeszonymi.

– Już nie. Nie jesteście. Widzisz? Rozejrzyj się wokół. – Machnął ręką, jednak Żwawy nie odrywał od niego spojrzenia. – Pomogliśmy wam, co nas kosztowało. Opatrzyliśmy wasze rany, daliśmy jedzenie i miejsce do odpoczynku. Gdyby nie my, nie dalibyście rady. Teraz musicie to odpracować. Pogódź się z tym.

– A więc to tak? – wycedził Żwawy, mimowolnie zaciskając pięści. Już widział oczyma wyobraźni potężne uderzenie, miażdżące nos temu wolnościowcowi. – I to jest ta cała wolność, która reprezentujecie, tak?

– Nie bądź śmieszny. Nie jesteśmy organizacją charytatywną i nie możemy sobie pozwolić na trwonienie zasobów. Poza tym... ja też jestem w takiej sytuacji. Mnie też Wolność uratowała parę lat temu i do dziś spłacam swój dług, więc proszę mi się nie skarżyć. Nie możemy was puścić. Każdy z nas ma tutaj swoje rozkazy.

– Ta... – prychnął Żwawy. – Każdy zbrodniarz się tak tłumaczy.

– No to niestety chyba zostaniemy zbrodniarzami... – Dżuma uśmiechnął się smętnie i skinął delikatnie głową. Wokół nich stało pięciu bojowników, każdy z ręką opartą na broni, dając do zrozumienia, że są gotowi w każdej chwili chwycić za nią i bez wahania przestrzelić Żwawemu łeb. Stalker rozejrzał się gwałtownie. Pojawili się tak, jakby dopiero co wyrosli spod ziemi. Nigdy nie był tak wściekły.

– Wystarczy Żwawy, usiądź.

Łagodny dotyk i głos Sunset zdołał ostudzić jego temperament. Delikatnie pociągnęła go za rękaw, aby usiadł obok niej, przy swoim dawnym miejscu wokół ogniska. Uczynił tak, jak chciała. Przez chwilę panowała cisza, przerywana jedynie trzaśnięciami palącego się

drewna. Wolnościowcy rozeszli się z powrotem, jedynie Dżuma został, patrząc na nich wszystkich z ponurą miną. Nie chciał, żeby to tak się rozegrało. Powinien powiedzieć im o tym w inny sposób. Być może nie doszłoby do konfliktu.

– Nie jesteśmy waszymi wrogami – powiedział, przerywając gęstniejące milczenie. – Zobaczycie, że już niedługo zapomnicie o tym, że w ogóle spłacacie jakikolwiek dług. Będziemy was dobrze traktować.

Żwawy nie odpowiedział mu. Nawet na niego nie spojrział. Nieoczekiwanie jednak dostrzegł ruch kątem oka. To była Fluttershy, która podnosiła rękę do góry, zupełnie jak na lekcji.

– Eee, tak Fluttershy? Chcesz o coś spytać? Wiesz, nie musisz zachowywać się aż tak grzecznie.

Przez krótką chwilę Dżuma mógł przyjrzeć się temu dziwnemu blaskowi w jej oczach. Czuł się coraz dziwniej i niepewnie, im dłużej to widział.

– No cóż... – zaczęła, jak zwykle cichym głosem. Dżuma musiał wytężyć słuch, żeby cokolwiek zrozumieć. – Skoro mamy dług, to mamy go spłacić, tak?

Żwawy i Sunset popatrzyli po sobie.

– A co ty znowu kombinujesz? – spytali.

– No gdybyśmy mieli coś wartościowego, coś, co kosztuje dużo pieniędzy...

– A macie? – odezwał się Dżuma, który milczał do tej pory.

– Nie. Jeszcze nie. Zdobędę jakieś artefakty. To będzie wystarczało. Pewnie zwróci wam się z nawiązką...

– No skoro według ciebie to takie proste... Ale jak zamierzasz tego dokonać?

Na twarz Fluttershy wstąpił mały uśmiešek.

– No w końcu jesteśmy stalkerami. Zapolujmy wreszcie na jakiś artefakt. Ale najpierw... – ucięła, wstając ciężko na nogę.

– Zanim gdziekolwiek pójdziesz, trzeba jeszcze coś zrobić.

Wszyscy spojrzeli w kierunku pani Deliktywy. Podeszła do ogniska bezszelestnie. Nikt wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Poruszała się jak cień. Potrafiła przyciągać uwagę wszystkich bądź znikać, kiedy tylko chciała. Fluttershy spojrziała w górę. Nad sobą dostrzegła jej okazały biust oraz oczy wpatrzone w stalkerkę.

– Ktoś musi ci zmienić opatrunek na ranie.

– Właściwie – wcięła się złośliwie Sunset, ściskając w pięści kostkę do gry – to ja to miałam zrobić.

Deliktywa nawet na nią nie spojrzała. Wyciągnęła rękę, którą Fluttershy bezwiednie złapała, i pomogła jej wstać na równe nogi.

– Grasz w tę zabawną grę, Sunset – Deliktywa uśmiechnęła się pod nosem, spoglądając na grymas złości płomiennowłosej. – Nie przeszkadzaj sobie. Ja akurat nie mam niczego do roboty. Zajmę się tym. Prawda, Fluttershy?

Dziewczyna odpowiedziała po chwili niepewnym skinieniem głowy. Nie chciała się sprzeciwiać tej kobiecie. Czuła, że mogłoby to doprowadzić do nieprzyjemnych w skutkach konsekwencji. Bała się jej, a wszędzie wokół kręcili się jej ludzie.

Deliktywa poprowadziła stalkerkę z powrotem na pieńki i usadziła ją. Odwinęła nogawkę spodni Fluttershy i włączyła latarkę. Snop światła padł na poczerwieniały od krwi bandaż.

– Trzeba było się nie wiercić. Rana się otworzyła. Gdzieś ty chodziła? – spytała z wyrzutem, po czym zachichotała chytrze po nosem. – Do tego chłopaka? On w tej chwili nie bardzo kontaktuje.

Fluttershy odwróciła głowę ze wstydem. Dziękowała panującemu półmrokowi nocy za to, że mógł ukryć jej zmieszanie. Deliktywa wyjęła mały nożyk. Jego ostrze przecięło bandaże, które lekko opadły na ziemię.

– Nie martw się – przemówiła dziwnie łagodnym głosem. – Już niedługo pogodzi się ze stratą i wróci mu humor. Człowiek jest w stanie dostosować się do wielu, niekorzystnych warunków.

– Doktor mówił mi, że w Zonie nie ma czasu na popadanie w smutek, bo wtedy zaczyna się zbyt dużo myśleć, a jak zaczyna się zbyt dużo myśleć, to stalker staje się rozkojarzony.

Deliktywa spojrzała na nią w zaskoczeniu. Po chwili otworzyła małą apteczkę i wyjęła z niej opatrunki.

– To prawda – przyznała kobieta, ponownie oglądając ranę Fluttershy. – Ale możesz mu pomóc się z tym uporać. Ty jesteś do tego najlepszą osobą.

– Nie wiem jak – przyznała smutno Fluttershy. – Myślałam, że moja obecność coś zmieni.

– Zmieniła – kobieta mrugnęła porozumiewawczo ku niej. Po oczyszczeniu rany, przyłożyła gazę i zaczęła obwiązywać ją bandażem. – Być może tego nie zauważasz, ale jest o wiele szczęśliwszy w twoim otoczeniu. Jestem pewna, że ciebie posłucha. Nikomu innemu nie ufa tak bardzo jak tobie.

– Posłucha? Ale co miałabym mu powiedzieć?

Deliktywa zawiązała bandaż i opuściła nogawkę spodni stalkerki.

– Wiesz co. To, co trzeba.

– Nie wiem, czy dam radę. Nie chcę z nikim rozmawiać o takich rzeczach. Nie nadaję się do tego. Jestem słaba. Moja niekompetencja doprowadziła do upadku Czystego Nieba. Tylko po lekach jestem odważna. Właściwie to... chciałabym być taka ja ty.

Deliktywa zaśmiał się pod nosem.

– Po co być taką jak ja? Słaba Fluttershy nie istnieje. Przede mną siedzi silna Fluttershy i nie potrzebuje żadnych wspomagaczy.

– Codrisd.

Jej szept wyrwał go z zadumy. Ostrożnie podniósł głowę. W blasku księżycy stała przed nim Fluttershy. Pochylała się. Wcześniej nawet jej nie zauważył. Jego dłonie mocniej zacisnęły się na sierści psa.

– Nie możesz go tak trzymać – głos stalkerki ledwie słyszalnie się łamał. – Jest już martwy. Na zewnątrz panuje wysoka temperatura. Już zaraz zaczniesz... wyglądać coraz gorzej – ostatnie słowa były najcichsze.

Usta stalkera zacisnęły się w wąską linię. Spojrzał na nią spode łba wściekłym spojrzeniem.

– Wiem, że to przykre, ale powinien spocząć w ziemi. Przecież nie chcesz tego oglądać, prawda?

Nie odpowiedział. Wciąż w jego oczach tliło się to rozgoryczenie zmieszane ze wściekłością. Stalkerka wyciągnęła w jego stronę lewą dłoń.

– Pomogę ci. Obiecuję, że będzie lepiej.

– Miałem go od szczeniaka. Nie chcę go zostawiać. Był moim jedynym przyjacielem w Zonie. Pomagał mi. Nie wiem, ile razy uratował mi życie, wyczuwając zagrożenie. To nieuczciwie... – jego oczy zaszkliły się od łez.

Fluttershy westchnęła. Zacisnęła palce na nadgarstku Codrisda.

– To prawda; to jest nieuczciwie, tak jak wiele innych rzeczy. Ale musisz to zrobić. Musisz zostawić to za sobą. Oboje wiemy, że mam rację. Ten smutek w niczym nie pomoże, a już napewno nie Ogryzkowi. Dlatego wstań.

Pociągnęła go w górę. Stalker niechętnie wyprostował kolana, wciąż trzymając psa na rękach. Stalkerka prowadziła Codrisda za rękę, utykając co parę kroków, ale ten ból wydawał się jej być nic nie znaczący przy zadaniu, które chciała wykonać. Wleczący się ociężałe za nią przyjaciel, szurał bezwładnie butami po podłożu, jakby uszło z niego życie. Wpatrywał się przed siebie z pustką w oczach, widząc jedynie różowe włosy Fluttershy. Obszeli budynek i przeszli na tyły. Łopata już czekała.

Po dłuższej, ciężkiej jak oddech Codrisda chwili, sztych łopaty wbił się w spękaną ziemię, po czym z trudem zagłębił się w glebie. Grudki ziemi poszybowały ku niebu wyrzucone przez desperacką siłę. Cały proces powtarzał się co parę sekund. Kopanie nabierało rozpędu, podobnie jak niespokojne oddechy Codrisda próbującego przedrzeć się coraz głębiej. Cała scena odbijała się w nieruchomych oczach Ogryzka. Zagościł w nich również blask księżyca. Wyglądało to prawie tak, jakby pies przypatrywał się ostatniej woli swojego pana, tej, która oddzieli ich już na zawsze.

Stalker odetchnął. Oparł się o drzewiec łopaty i starł pot z czoła. Za nim leżały jego ubrania. Postanowił zdjąć z siebie płaszcz, kamizelkę, pozostawiając koszulkę zasłaniającą jego tors. Gorąco falowało nad jego mokrym ciałem. Ze startej skóry na palcach spływały krople krwi. Przyssał kciuk do ust i przeklął w myślach beznadziejną łopatę. Tym większa złość go ogarnęła, gdy spostrzegł, że nie dokopał się nawet do metra.

Nie pozostało nic innego, jak wytrzeć krew w spodnie i ponownie złapać za swoje narzędzie. Sztych po raz kolejny zarył w ziemi.

- Może ci pomóc? – spytała Fluttershy, nie odstępując go nawet na krok.
- Dzięki, ale nie – odparł ponuro pod nosem. – W tym stanie mi nie pomożesz.
- Wykopać takiego dołu będzie trudne.

Codrisd przerwał na moment, by złapać oddech. Zerknął na stalkerkę.

- No to się trochę namęczę.

Fluttershy uśmiechnęła się szczerze.

– Za parę godzin nie dokopiesz za do połowy głębokości. Ziemia jest stwardniała, a zakładam, że chcesz wykopać dół na tyle duży, żeby mutanty się nie dobrały do niego...

Codrisd wypuścił z dłoni łopatę, która uderzyła w trawę z głuchym trzaśnięciem. Usiadł na ziemi i oparł się rękami, by chwilę odpocząć. Fluttershy nie czekała. Ból wykrzywił jej twarz, gdy podpierając się zranioną nogą i trzymając drzewiec w jednej z zabandażowanych dłoni, której brakowało dwóch palców, naparła na metalowy sztych. Ziemia uległa jej sile. Fluttershy zamasztywym ruchem wyrzuciła za siebie brud. Zamierzała kopać dalej.

– Chyba odwalileś najgorszą robotę – ozjamiła, po raz kolejny biorąc zamach.

Wzruszył ramionami.

– Nie powinnaś kopać.

– Gleba w niższych warstwach nie jest tak wysuszona. Już nie jest tak trudno. Możemy się zmieniać.

Wbrew temu, co sądził Codrisd, Fluttershy nie dała się przekonać do tego, aby przestała, więc wszystko dalej potoczyło się wedle kolei, która samą zorganizował. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej zdeterminowanej. Dawna Fluttershy nie raczej nie byłaby w stanie podejmować tak szybkich decyzji z taką stanowczością. Stalker uśmiechnął smutno się pod nosem. Zmieniła się. Nie chodziło o to, że wydorosła, ale... najwidoczniej zaczęła bardziej doceniać samą siebie. I to ucieszyło Codrisda na tyle, że nawet opuchnięte palce czy krew nie zdołały go zatrzymać, przed wykopaniem grobu.

Trwało to parę godzin, zanim dłoń stalkerki przesunęła się delikatnie wzdłuż pyska zwierzęcia. Domknęła jego oczy. Złapała dłoń Codrisda i wydostała się z dołu. Oboje stanęli nad własnym dziełem, którego nigdy nie chcieli oglądać. Słońce już niemal zaczęło wschodzić. Uzczyło całej Zonie pierwszych promyków nadchodzącego dnia. Fluttershy oparła zmęczoną głowę o ramię stalkera. Chwiała się na ugiętych nogach, a jej bandaże przesiąkły krwią. Wyglądała tak, jakby zasnęła na stojąco.

– No i widzisz. Otwarły ci się rany – szepnął, kładąc dłoń na włosach. Stalkerka nie odpowiedziała. Zamarła, wciąż sztywno trzymając się na nogach. Codrisd spojrzął po raz ostatni na Ogryzka. – Dzięki tobie wygląda tak, jakby zasnęła.



Na posterunku pozostało jedynie paru Wolnościowców, którzy nie zgodzili się na to, aby opuścić swoją bazę niedaleko Czerwonego Lasu. Fluttershy mogła odetchnąć z ulgą, gdy przeprawiali się nocą przez niemalże puste pola porośnięte chwastami, mijając co jakiś czas rosnące w oddali zagajniki uschniętych drzew. Oferta zdobycia artefaktów przez nią dla Wolności wydawała się być wystarczająco kusząca dla stalkerów. Sami niczego nie ryzykowali; to stalkerka zadeklarowała, że wszystkim się zajmie i nie zdołały zmienić jej decyzji sprzeciwu i narzekania Żwawego oraz Sunset, którzy co chwilę przywoływali ten sam argument, że nie wyzdrowiała jeszcze do końca po wielkiej bitwie na bagnach. Jedynie

Fluttershy wiedziała tak naprawdę, w jakim była stanie i to zaczynało ją coraz bardziej martwić. Niepokojące również stawały się szybko topniejące zapasy jej leku, który podarował jej medyk z Czystego Nieba. Przed wyprawą po artefakty, musiała zażyć kolejne tabletki, przekraczając zalecaną dawkę. Dopiero wtedy była w stanie funkcjonować bez strachu. Ale lekarstwo wkrótce miało się skończyć. Fluttershy musiała gdzieś uzupełnić zapasy, dlatego też udało jej się przekonać Panią Deliktywę oraz pozostałych stalkerów do tego, aby po zdobyciu artefaktów, wyruszyli do głównej bazy Wolności. Zgodzili się przede wszystkim dlatego, że zdobyte artefakty będą musieli właśnie tam przekazać. Zasługi Fluttershy oraz jej grupy zostaną udokumentowane, tak, że oficjalnie, przynajmniej według Wolności, z powrotem staną się wolnymi stalkerami.

Jednak jednym z głównych powodów, dla których Fluttershy zdecydowała się wyruszyć z tamtego posterunku, była chęć oddalenia się od lasu Everfree. Czuła, że tamten pająk, Iluzjonista, tak łatwo nie da za wygraną. Będzie chciał się zemścić. Zwłaszcza na niej.

Po paru godzinach udało im się wreszcie zejść z terenów Zony nigdy wcześniej nie dotkniętych cywilizacją. Granicę tych dwóch światów, tej najdzikszej Zony oraz tej skupiającej większą populację stalkerów, przedzielała wyniszczona droga asfaltowa, pełna pęknięć i dziur. Podwójna linia ciągła już dawno zatarła się na tyle, że miejscami całkiem zanikała. Przy drodze znajdował się kolejny posterunek Wolności, patrolowany leniwie przez około dziesiątkę wolnościowców. Codrisd wraz z resztą jego ekipy poszli tam jako pierwsi, zostawiając przy Fluttershy, Sunset, Żwawym oraz Młodym jedynie dwóch stalkerów. Musieli pilnować nie tylko ich, ale również Magistra, związanego i ściśniętego tak mocno jak sardynka w puszcze.

Wolnościowcy przywitali się ze sobą, pogadali chwilę, wymienili informacje o tym, co się dzieje w Zonie, a po chwili wyjaśnili zaistniałą sytuację.

– Chodźcie, chodźcie! Nie wstydzcie się! – zawołał ich Codrisd, machając ręką. Cała czwórka, nie do końca wolnych stalkerów ruszyła niepewnie przed siebie, a za nimi dwóch Wolnościowców, ciągnących ze sobą Magistra, który uparcie próbował się wyrwać.

Czekał już na nich samochód terenowy, który miał przewieźć ich do Doliny Mroku, gdzie znajdowała się główna baza Wolności. Z tego co Fluttershy było wiadome, to Wolność stacjonowała również w jej dawnym liceum Canterlot. Dziwnie by było tam wrócić po tylu latach. Jeszcze nigdy wcześniej jej tam nie było, oczywiście tuż po tym, jak wybuchł reaktor. To ciekawe, a zaraz smutne doświadczenie, tak zwiedzić gruzy tego, co kiedyś było jej codziennością. Słyszeć objający się po pustych, wyniszczonych korytarzach szkolny gwar. Ale o tym będzie miała okazję pomyśleć, jak już dotrą na miejsce. Nie miała czasu się nad

tym zastanawiać. Pospiesznie zapędzili ich wszystkich do paki, przez co musieli cisnąć się na tylnych siedzeniach. Za nimi w pogotowiu stał drugi samochód. Jednak Fluttershy nie narzekała; to było i tak lepsze, niż iść na piechotę ponad pięć kilometrów.

Żwawy i Sunset nie zdążyli jeszcze dobrze ponarzekać na niewygodę podróży, kiedy mały konwój zatrzymał się w pewnej odległości od zabudowań, które, jak zgadywali, były stacją benzynową. Fluttershy nie musiała zgadywać. Pomimo mroków nocy, dobrze wiedziała, dlaczego się tu zatrzymali. To tam znajdowały się anomalie, a gdzie anomalie, tam i artefakty.

Wszyscy wysiedli, a dwóm stalkerom kazano zostać i pilnować zamkniętego w aucie Magistra. Odkąd zobaczyli, do czego ten sukinsyn jest zdolny, woleli nie zostawiać go bez nadzoru. Nawet, gdy był zapuszkowany. Cała grupa wyruszyła w kierunku stacji benzynowej. W oczy Młodego od razu rzuciła się dziwna, niebieska mgła, która kłębiła się i parowała zewsząd na stacji. Fluttershy już w tamtym momencie wiedziała, z czym przyjdzie jej się zmierzyć i chyba był to jej najmniej ulubiony wariant anomalii.

Stanęli w odległości stu metrów. Z tego miejsca doskonale mogli zobaczyć, jak powietrze wokół stacji zaczyna iskrzyć. Rozbłyska krótkimi, elektrycznymi wyładowaniami, które nasilały się. Dokładnie tak, jakby obecność stalkerów obudziła do życia złe mocne.

Przestrzeń przecięła błyskawica. Potem następna, a wraz z nią rozszalało się elektryczne piekło. Z płataniny tysięcy piorunów uformowały się trzy pioruny kuliste, dymiące i syczące wściekle. Skupiły cały ładunek wokół siebie, tworząc anomalię, która nazywała się elektro.

– Mamy farta – powiedział jeden z wolnościowców, wodząc oczami za szybko przemieszczającymi się kulami błyskawic. – Od czasu do czasu elektry rozładowują się, po czym pozostają na jakiś czas nieaktywne. Akurat przybyliśmy, kiedy postawiły przerwać swoją drzemkę.

Wszyscy przez chwilę patrzyli na chaotycznie latające tam i z powrotem świetliste sfery, strzelające czasem pomniejszych piorunami. Ich blask oświetlał twarze stalkerów jak flash aparatu. Oświetlał również minę Sunset, która stawała się coraz bardziej rozgniewana. Przecież to niemożliwe, żeby człowiek mógł sobie z czymś takim poradzić. Jakie to ma natężenie prądu? Z pewnością na tyle duże, aby spalić żywcem człowieka. Nikt nie przeżyje bezpośredniej konfrontacji z elektry.

Stalkerka postanowiła nie przeciągać tego, co i tak miało nastąpić. Ruszyła przed siebie, zostawiając wszystkich swoich towarzyszy, schowanych w bezpiecznej odległości. Sunset nie mogła na to patrzeć.

– Fluttershy! – krzyknęła. Nie zrobiła tego świadomie, po prostu wyrwało jej się to z gardła.

Fluttershy zatrzymała się do wszystkich plecami, nie odwracając się.

– Czyś ty zwariowała?! Nie widzisz, co tam jest?!

– Właśnie – zawtórował Żwawy. – Odsuśmy sobie. Trudno, odpracujemy to, co musimy. Może nie będzie tak źle...

Wszyscy czekali na to, co odpowie. Nie widzieli jej twarzy, ale mogli być pewni, że się waha.

– Fluttershy... – rozpoczął niepewnie Codriss, uśmiechając się kłopotliwie. – Dopiero co znowu cię spotkałem. Głupio by było widzieć, jak obrywasz piorunem. Więc może...

Urwał, gdy obróciła się ku nim przez ramię. Strzelające błyski anomalii rozświetlały jej smutny uśmiech.

– Nie przybyłam do Zony po to, aby spłacać jakieś długi. Nie mam na to czasu.

Ponownie zwróciła wzrok w kierunku stacji. Jej ruch ręki mógł wskazywać na to, że wycierała oczy.

– Pójdziemy z tobą! – krzyknęła Sunset.

– Nic z tego – zagroził jeden ze stalkerów. – Jeszcze nam tam poginiecie, a martwi na nic się nam nie przydadacie. Idzie tylko ona...

Dziewczyna zmierzyła tego wolnościowca morderczym wzrokiem, jednak nikt nic nie mógł na to poradzić.

– A jeżeli wam powiem, żeby przerwać to całe szaleństwo? – nieoczekiwanie Deliktywa uniosła głos. Ognistowłosa wzdrygnęła się. Kobieta stała tuż przy niej, ale ulżyło jej, gdy ktoś wziął jej stronę.

– Nie masz wpływu na takie decyzje – wyjaśnił jeden z Wolnościowców. – Wiem, że masz swoje układy z generałem Lokim, ale tutaj kończy się twoja władza, burdelmamo – dodał z pogardą.

– W takim razie poczekajcie sobie tutaj jak cipki, gdy będziemy odwalać ciężką robotę. Mnie nie zatrzymacie.

– Nic z tego – kolejny żołnierz Wolności zagroził jej drogę. – Bo widzisz, mamy cię chronić przed wszelkimi niebezpieczeństwami. Jesteś zbyt cenna. Tak powiedział generał Loki, a my nie chcemy łamać naszych obietnic – stalker uśmiechnął się złośliwie.

– Skontaktuję się z Lokim. Zobaczycie...

– To dzwoń – stalkerzy wzruszyli ramionami.

Deliktywa zmierzyła ich morderczym spojrzeniem, jednak nic więcej już nie powiedziała.

– Deliktywo... – Fluttershy uśmiechnęła się lekko. – Dzięki za troskę, ale nie mam zamiaru tam umierać.

Ruszyła przed siebie. Sunset nie mogła w to uwierzyć. Najchętniej poszłaby stąd, aby nie widzieć masakry, jaka się przed nią rozegra. Żwawy delikatnie objął ramieniem ognistowłosą i zmrużył oczy. Próbował ocenić jej szansę. Przewidzieć, co zamierza zrobić. W ogóle nie chciała wcześniej rozmawiać o całej tej próbie zdobycia artefaktów. Zachowywała się jak nie Fluttershy. Mało tego; zachowywała się jak mało kto, bo każdy czułby strach. Trudno by było mu to ukryć. A Fluttershy? Ona wydawała się być całkiem wyprana z emocji. Nieco ospała i rozleniwiona. Zblazowana w nienaturalny dla niej sposób, tak jakby... tak jakby... Żwawy nie mógł dopuścić do siebie tej myśli, ale wszystko wskazywało na to, że była na haju. W takim stanie człowiek przestaje myśleć racjonalnie. Nie boi się niczego, przecenia własne możliwości, czego w rezultacie ginie.

Wiem, Deliktywo, że według ciebie nie potrzebuję żadnych wspomagaczy. Tak powiedziałaś – pomyślała stalkerka, śmiałym krokiem idąc ku jaskrawym kulom błyskawic. – *Ale ja muszę mieć pewność, że dam radę. Te lekarstwa naprawdę mi pomagają...*

– Ciekawe, co ona zrobi... – mruknął do siebie jeden z Wolnościowców, stojący za Żwawym. On również się nad tym zastanawiał. Mało kto porywał się na anomalie elektro, dlatego też artefakty z nich wypadające były rzadkie, a przez to cenne.

Fluttershy nie spieszyła się. Sięgnęła do plecaka i pogrzebała w nim przez chwilę. Ołowiany pojemnik wciąż tam był. Łagodne światło artefaktu o nazwie Blask ukoił jej oczy. Ostatnim razem, gdy go widziała, przebywała jeszcze w Czystym Niebie, gdzie otrzymała ten wartościowy prezent od Szramy. Niestety nie aż tak bardzo wartościowy, aby wykupić wszystkich spod władzy Wolności. Wtedy jeszcze zastanawiała się nad tym, czy ta oto błyskotka kiedyś uratuje jej życie. Już wkrótce się dowie.

Doczepiła błyszczącą kulę do paska i łyknęła dwie tabletki antyradów. Powolnym krokiem podeszła w okolice stacji benzynowej i zatrzymała się akurat przy samotnym, martwym drzewie. Znajdowała się już bardzo blisko, z tej odległości wyraźnie mogła zobaczyć pędzące płataniny setek błyskawic, jednak drzewo nie nosiło na sobie żadnych oznak porażenia przez elektry. To znaczy, że tutaj była bezpieczna. To będzie granica, za którą bez konkretnego planu dalej nie pójdzie. Postanowiła, że przykucnie i poobserwuje.

Wszystko podlegało jakimś prawom, nawet anomalie. A w dodatku okres ich aktywności przebiegał wedle ustalonego rytmu. Można było to zaobserwować, patrząc na

pulsujące w regularnych odstępach grawikoncentraty czy na anomalię Cyrk, na którą składały się dwa pędzące po okręgach kule ognia w małej, okrągłej dolince niedaleko miasta Canterlot City. Elektry również wyznaczały sobie pewien rytm. Niepokojone przez nikogo ani przez nic, szalały przez pewien czas, po czym stopniowo zanikały, gdy wyczerpały cały ładunek. Po tym zapadały w coś na wzór snu, aby naładować się ponownie. Gdyby chodziło jedynie o przedostanie się do stacji benzynowej, najbezpieczniej by było poczekać, aż elektry całkiem by się rozładowały. Nie przyniosłoby to jednak żadnych artefaktów.

– Hmm... – mruknęła do siebie Fluttershy, wodząc ospałym wzrokiem za szybującymi piorunami kulistymi.

Próbowała to jakoś rozgryźć. Obserwując otoczenie przed sobą, zauważyła dwa metalowe pręty leżące tuż przy wyasfaltowanym podłożu stacji benzynowej. Mogły się przydać. Czekanie na to, aż anomalia wypluje artefakt, mogło zająć sporo czasu. Zazwyczaj działo się to spontanicznie, lecz istniało na to małe prawdopodobieństwo.

Sunset ze zgrozą patrzyła, jak jej przyjaciółka rusza dalej, niczym się nie przejmując.

– Te anomalie są takie szybkie... Wątpię, żeby artefakt całkiem uchronił ją przed prądem – szepnęła, gryząc swoją pięść.

Uważanie na trzy rozbrykane kule, zdolne usmażyć każdego, wymagało sporo uwagi. Fluttershy stwierdziła w myślach, że lepiej by było zmniejszyć liczebność anomalii. Do głowy wpadł jej pewien pomysł.

Podeszła do dwóch metalowych prętów. Zauważyła je tam wcześniej dzięki rozbłyskom anomalii, w innym razie nie byłaby w stanie ich dostrzec w środku nocy. Najpierw musiała się schylić po jeden z nich, a potem...

Rozbłysk przyćmił jej prawe oko. Szybko skręciła szyję. Anomalia pędziła prosto w jej kierunku. Odrzuciła od siebie pręt, odskoczyła, potem jeszcze raz. Skwar i białe światło musnęły ją.

– Nad tobą! – ktoś krzyczał.

Rzeczywiście. Jaskrawe światło oblało ją ponownie. Zrobiła unik, anomalia spadła tuż przy niej. Ta wcześniejsza już zaczynała zakręcać, flankować ją. Fluttershy rozejrzała się na boki. Dwie kule zaatakowały ponownie. Trzaskały piorunami na lewo i prawo. Nie da rady odskoczyć w bok. Stalkerka padła na ziemię, przeturlała się. Piorun śmignął jej po włosach. Skóra stalkerki ścierpła tak jak nigdy wcześniej.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Sunset.

To nie było normalne. Nawet jak na anomalie.

– Wygląda to tak, jakby postanowiły nagle ją zaatakować albo jakby ktoś nimi sterował... – powiedział zapatrzony we wszystko Żwawy.

W lewo, w prawo. Uchylała się jak liść na wietrze, którego koniecznie ktoś chciał złapać. Pobiegła ponownie w stronę jej ekipy. Dwie anomalie rzuciły się do pościgu. Nie ucieknie. Człowiek nie biega tak szybko, nieważne jak prędko.

Elektry pruły po łuku, zagarniając ją w pułapkę. Przed nią rosło drzewo, dokładnie to samo co wcześniej. Nie powinny się tak daleko zapuszczać, skoro nigdy ich tu nie było. A jednak.

Dwie anomalie skręciły gwałtownie. Cały świat rozbłysnął bielą. Pojedyncze włoski na głowie Fluttershy uniosły się ku górze. Było tak gorąco, że wszystko wokół falowało, rozpływało się. Stalkerka jęknęła głucho. Skoczyła w górę. Chwyliła gałąź. Podciągnęła się.

Wybuch wypalił nieoczekiwanie. Wszyscy zasłonili oczy rękami przed ścianą światła. Dwie anomalie zderzyły się, eksplodując. Sieć rozbłysków, wyładowań elektrycznych, przecięły przestrzeń wokół. Drzewo pękło na dwie części. Anomalie wszystko wyrzuciły. Kawalki drewna wirowały w ogniu, spadając na ziemię jak ognisty deszcz.

Fluttershy wczepiła się w gałąź z całych sił, lecz jej dłonie zaczynały drzeć, aż w końcu puściły. Spadła z głuchym jękiem. Chyba niczego sobie nie złamała, jednak piekły ją plecy w niektórych miejscach... Nie było na to czasu. Anomalie nie zniknęły po wcześniejszym incydencie. Zawracały, aby znów spróbować ją zabić.

Wygramoliła się na nogi. Zobaczyła wtedy trzecią anomalię, która fruwała sobie spokojnie ponad nią w pewnej odległości, zupełnie nie przejmując się niczym. Dlaczego? Dlaczego tylko tamte dwie?

Elektry szarżowały, wypalając pod sobą trawę, ciągnąc czarny ślad. Fluttershy skoczyła do przodu. Chwyliła pręt, podrzuciła go do góry, znów złapała i zamachnęła się nim jak oszczepem. Metal poszybował. Wbił się w anomalię, przygwoździł ją. Ta wybuchła z głośnym sykiem. Zniknęła w rozbłysku. Pozostała jeszcze tylko jedna.

– Bardzo sprytne... – Codriss rozchylił szerzej powieki, oglądając całe przedstawienie z wypiekami na twarzy. Fluttershy zamierzała powtórzyć całą operację. – Użyła tamtego kawałka metalu jak odgromnika...

– Czego? – spytał stojący przy nim Dżuma.

– No, ten pręt pewnie przejął na siebie ładunek elektryczny, a następnie poprowadził go do ziemi, przez co uziemił prąd. Pokonała w ten sposób elektry. Zaraz zajmie się drugą...

Elektra przyspieszyła jakby w obawie przed podzieleniem losu poprzedniej anomalii. Z sykiem pokonywała kolejne metry, zakręcała, przecinała powietrze zygzakami. Potężny

grzmot zatrzęsł stalkerką, próbującą ustać na nogach. Elektra wzbiła się w górę, by następnie zacząć pikować. Cisnęła przed siebie. Była już tak blisko. Fluttershy uniosła pręt w górę, po czym wbiła go w ziemię. Anomalia nie spudłowała. Uderzyła dokładnie tam, gdzie zamierzała. Wszystko zgasło w jednym momencie.

Nastała cisza przerywana jedynie pojedynczymi trzaskami wyładowań elektrycznych trzeciej elektry, która fruwała zupełnie niezainteresowana czymkolwiek, lecz to dzięki światłu emitowanemu przez nią, pozostali mogli zobaczyć, co się stało. Nikt się nie odzywał, próbując dojrzeć Fluttershy, jednak jedyne, co udało im się dostrzec, to czarny kształt, leżący niedaleko wystającego pręta, na który nadziała się elektra.

Artefakt pomógł jej przeżyć. Bez niego mogłaby być martwa. Fluttershy dyszała, cała dygocząc. Powietrze świszczało wraz z każdym wdechem przez jej zaciśnięte zęby. Wbijała paznokcie w glebę, drapała ją, zagryzała wargę, robiła cokolwiek, aby zapomnieć o bólu. Śwąd spalonego mięsa jej na to nie pozwalał. Nie wiedziała, jak mocno oberwała, jednak jej plecy musiały wyglądać okropnie. Już nigdy nie wróci do dawnego wyglądu.

Wszyscy wzdrygnęli się jednocześnie, gdy do ich uszu dotarł potworny jęk z gardła Fluttershy.

– Nieprzyjemna sprawa... – mruknął jeden ze stalkerów.

– Serio? – warknęła cicho Sunset. – Tylko tyle macie do powiedzenia?! Może ktoś by jej kurwa pomógł?!

– Heh, ja tam nie idę. Wciąż pozostała jedna anomalia... – wzruszył ramionami. Sunset jeszcze nigdy nie miała tak szczerzej ochoty kogoś zamordować.

Fluttershy zagryzła zęby mocno. Jej żuchwa trzeszczała.

Niech to szlag... Mogłam to lepiej rozegrać. Teraz jestem bezużyteczna. Nie mogę się ruszyć. Czy to jest ten limit, o którym wspominał mi Doktor?

Białe światło padło na jej twarz. Ostatnia anomalia postanowiła wreszcie włączyć się do akcji. Zbliżała się do Fluttershy.

Niedobrze... chyba już nie dam rady zrobić uniku.

Wszystko wokół jaśniało coraz bardziej. Jakby stalkerka przenosiła się do innego świata. Podniosła wzrok mniej więcej tam, gdzie powinni czekać na nią jej przyjaciele. Już się nie doczekają. Gdzieś w oddali, w trawie, zauważyła idealną, błękitną kulę wielkości pięści dorosłego człowieka, w której przepływały białe wiązki energii. Fluttershy od razu rozpoznała czym to coś jest; blask księżyca, jeden z najrzadszych artefaktów. Leżał tam, całkiem niedaleko od niej, a obok drugi i trzeci. Pewnie wypadły z elektry, gdy te zderzyły się ze sobą. Stalkerka uśmiechnęła się smutno. Przynajmniej teraz już nigdy nie będą

narzekać na brak gotówki. Jak znajdą dobrego kupca, to Żwawy, Sunset oraz Młody staną się najbogatszymi stalkerami w Zonie.

Fluttershy westchnęła cicho. Dlaczego wokół wszystko się tak wlecze? Boli ją wszystko jak cholera. Jakie ma znaczenie to, czy pożyje jeszcze dodatkową minutę? Już lepiej nie czuć niczego. Ale oczywiście jej percepcja się zmieniła. Kiedyś doświadczyła czegoś podobnego, bo raz zdarzyło jej się być o krok od zgonu. A ta elektra jakoś tak niespiesznie się do niej zabierała. Stalkerka już w końcu nie wiedziała, czy naprawdę wszystko wokół się tak wlecze jedynie w jej umyśle, czy po prostu anomalia zbliża się w ślimaczym tempie. Ale wszystko kiedyś w końcu się skończy. Fluttershy zacisnęła oczy. Elektra zaatakowała. Coś szarpnęło nią całą, wrywając do przodu. Pioruny zawyły. Niebo rozdarły światła.

Fluttershy upadła z powrotem na twarz. Kaszlnęła i odważyła się otworzyć jedno oko. Czyjaś dłoń zaciskała się na jej nadgarstku. To bolało, ale to i tak lepsze, niż zostać porażonym wściekłym piorunem kulistym.

– No... zdążyłem... – Głos ten z pewnością należał do Codrisda.

– Co ty tutaj robisz? – spytała niemal bezgłośnie. – Przecież masz dług...

– Nie ma czasu. Lepiej spadajmy stąd... no chyba że masz pomysł, jak to zatrzymać...

– Nie da się... – Jedynie tyle zdołała wycharczeć. Ciało odmawiało jej współpracy. Była unieruchomiona.

– Cholera!

Codrisd odruchowo zakrył twarz, zachwiał się i upadł. Elektra popędziła ku nim. Nie dawała za wygraną. Chciała za wszelką cenę rozerwać ich na strzępy, trafić piorunem, zwęglić wnętrzności. Prąd głośno bzyczał, rozciągając swoje macki. Kula błyskawic rozrastała się. Nadciągała jak fala uderzeniowa potężnej eksplozji.

Zniknęła.

Nieprzenikniona ciemność wreszcie zdominowała stację benzynową. Nie istniało już więcej źródeł światła. Codrisd zamrugał oczami. Nie miało znaczenia, czy miał je otwarte, czy zamknięte; widział tak czy siak to samo.

– Co tu się do jasnej cholery dzieje... – zapytał sam siebie.

Anomalia zniknęła tak po prostu? Może się rozładowała? Akurat sekundy przed trafieniem ich. Gdyby tak było, to Codrisd musiałby przyznać, że mają "uber-kurwa-galaktyczne" szczęście. Już chciał krzyczeć, skakać z radości. Drzeć ryja jak

idiota, nieważne, po prostu się cieszyć tym absurdem, jaki się przed chwilą dokonał na jego oczach, na oczach wszystkich tu zebranych.

Jednak to nie była ta przyczyna. Elektra jeszcze spokojnie mogłaby ich zabić. One nie znikają tak nagle. Nawet jeśli wyczerpią sporo ładunku elektrycznego.

– Lepiej będzie, jak uciekniecie stąd.

Codrisd zamarł. Choć głos był raczej przyjazny, acz zdecydowany, to i tak przeszły go ciarki. Ktoś tam był. Ktoś tam stał, dokładnie w tym miejscu, gdzie zniknęła anomalia.

– Kim jesteś?!

– Spoko, spoko. Póki co możecie mówić na mnie Polipius. Mroczny stalker. Ex-pomagier Monolitu.

Codrisd sięgnął szybko po latarkę i włączył ją. Snop światła padł na mężczyznę, stojącego do niego tyłem. Ubrany był na czarno, a w jednej dłoni trzymał za kołnierz jakiegoś nieprzytomnego mężczyznę, ubranego dokładnie tak samo.

– Co to ma znaczyć?!

– Ten tutaj... – uniósł jedną ręką zwisającego nieprzytomnie mężczyznę – odpowiada za to dziwaczne zachowanie anomalii.

– Już wcześniej zauważyłem, że coś tu jest nie tak, ale...

– Po prostu jest mrocznym stalkerem. Potrafimy robić takie rzeczy. Są o wiele potężniejsi od zwykłych ludzi. A do tego każdy z nich posiada jakieś specjalne umiejętności. Ten typ tutaj jest w stanie kontrolować anomalie elektryczne, choć jeszcze nie nabrał w tym zbytnej wprawy. Najwidoczniej jego obecny górny limit, to dwie elektry jednocześnie...

Codrisd słuchał tego i słuchał, a im więcej słyszał, tym mniej był skłonny uwierzyć w to wszystko. No ale z drugiej strony przecież był świadkiem tego wszystkiego, co się tutaj przed chwilą rozegrało. Sama Zona słynie z wielu dziwacznych, niewytłumaczalnych rzeczy. Od mutantów, zdolnych kogoś zabić po jakieś popieprzone fale psioniczne. A może po prostu za tym wszystkim kryła się jakaś technologia, której jeszcze nie znali. Nie wiedział, jak to wszystko jest możliwe, dlatego postanowił, że póki co uwierzy we wszystko, co mu powie Polipius.

– Dlaczego nam pomagasz?

– Bo taki już jestem... – odpowiedział lakonicznie, spoglądając w nocne niebo. Wiedział, że to nie była zbyt zadowalająca odpowiedź, więc po chwili dodał:

– Monolit przejął kontrolę nade mną. Wysłali mnie na regresję umysłu, co miało pozbawić mnie mojej dawnej osobowości. I tak też się stało. Jednak... – Polipius odwrócił się, ukazując swoją pociągłą twarz, naznaczoną długą blizną, która wystawała z poza opaski

na jego lewym oku. Uśmiechnął się ironicznie i zerwał ją. Z oczodołu wystawała pomarańczowa gałka oczna, nie podobna do ludzkiej. Wyglądała tak, jakby zaraz miała wypaść z czaszki. – To oko należało kiedyś do Iluzjonisty. Dzięki temu jest w stanie manipulować ludźmi. Po regresji umysłu stałem się bezwolnym golemem, jednak gdzieś tam w głębi wciąż pozostałem dawnym sobą. Po prostu udało mi się zahipnotyzować samego siebie, tak, aby przywrócić swoją dawną osobowość. Już nie jestem pod wpływem Świadomości-Z. Gardzę tym gównem, czego dowód dałem przed chwilą.

Codrisd westchnął ciężko i upadł tuż przy Fluttershy.

– Dzi-dzięki stary, wiesz? Uratowałeś nas. Prawie się tu zesrałem...

– Jeszcze będziesz miał okazję to zrobić. To dopiero początek.



Zrobiło się zimno. Bardzo zimno. Codrisd zadygotał mimowolnie. Nie był w stanie opanować dreszczy. Zauważył, że jedynie z ust Polipusa nie wydobywa się para wodna przy wydechu. Tak, jakby nie oddychał albo już wcześniej był bardzo zimny. Z nieba zaczął padać śnieg. Pojedyncze płatki śniegu wirowały w powietrzu, tak pięknie tańczyły, błyskając co chwilę w świetle księżyca. Niebo falowało, zniekształciło się. Czy on właśnie patrzył na ocean w miejscu nieba? Nieważne, nie zadawał już sobie żadnych pytań. Nic go już nie interesowało. Stawał się senny. Jego oczy przymykały się, ciężąc mu coraz bardziej. Odpływał.

– Hej! – Głośny plaskacz wyrwał go z otępienia, jednak tylko na moment. Znow zaczął zapadać w sen. – Lepiej spójrz mi prosto w... oko!

Po tym wszystko zniknęło w jednej chwili. Codrisd nie widział żadnego śniegu, nie czuł zimna, nie czuł senności. Wszystko wróciło do poprzedniego stanu, choć przstraszył się dziwnego oka Polipusa.

– Co... co to było?!

– Spokojnie... – poklepał go po ramieniu. – Zostałeś złapany w iluzję. Teraz, gdy zdjąłem z ciebie urok, powinieneś być przez pewien czas niepodatny na takie wpływy.

– Jaką znowu iluzję?

Polipius westchnął, odwrócił się od niego i podwinął rękawy, ukazując swoje tatuaże.

– No pewnie słyszałeś o różnych stworach, które potrafią się bawić ludzkim umysłem, co? A słyszałeś o Iluzjoniście?

– O tym wykurwiście wielkim pająku?

– O taak! – uśmiechnął się Polipius, rozglądając się uważnie po otoczeniu. – To on was zahipnotyzował. Pewnie zaraz tu przyjdzie.

– Ale jak? Słyszałem, że aby kogoś zahipnotyzować, musi najpierw na tego kogoś spojrzeć. A tu nie ma tego pająka...

Przerwał, gdy spojrział na palec jego towarzysza, który dotknął swojego ucha. Wtedy zrozumiał. Dźwięk. To za jego pomocą Iluzjonista niemal uśpił Codrisda.

– No więc pewnie wiesz, że dźwięki potrafią wywołać halucynacje w ludzkim mózgu.

Przytaknął. To prawda, kiedyś już o tym słyszał. Osoby podatne mogły nawet dostać padaczki.

– Iluzjonista potrafi wydawać dźwięki o niesłyszalnym dla ludzkiego ucha natężeniu. W ten sposób może pokonać każdego, kto nie doświadcza mocnego bólu, na przykład przez samookaleczenie się. To jeden ze sposobów, na wyrwanie się spoza iluzji – podkreślił to Polipius, wskazując na siebie. – Ja uodporniłem na to samego siebie, rzucając na swój umysł blokadę, tak, jak to zrobiłem przed chwilą z tobą. A teraz lepiej się przygotuj. Iluzjoniście nie udało się uśpić każdego, dlatego zaraz przejdzie do bezpośredniego ataku.

– Jesteśmy kawałek od lasu. Ten potwór cały czas nas śledził? – spytał, jednak nie doczekał się żadnej odpowiedzi od jego nieoczekiwanego wybawiciela.

Postanowił zająć się Fluttershy, która, jak sądził, powinna zasnąć, jednak wciąż była przytomna, ledwo, ale jednak. Stęknęła z bólu, gdy Codrisd próbował pomóc jej wstać. Natychmiast się wycofał. Czyżby miała pogruchothane kości? A co jeśli jest coś nie tak z jej kręgosłupem? Wtedy aż strach kogoś takiego ruszyć nawet o milimetr.

– Zabierz ją stąd! – polecił krótko Polipius, wywijając swoim pomarańczowym okiem na boki, jakby koniecznie chciał kogoś ustrzelić spojrzeniem. – Biegnij do swoich i postaraj się ich obudzić. Możesz nawet zadać im ból, zrób wszystko, abyście się stąd oddalili.

Codrisd przytaknął głową i włączył latarkę, świecąc na Fluttershy. Spojrział na nią z grymasem bólu i współczucia. Jej plecy w paru miejscach były spalone, dokładnie tak, jakby została potraktowana morderczym prądem. Z popękanej, zwęglonej skóry ściekała krew. Cholernie nieprzyjemny widok. Nie dziwił się, że tak cierpi. Zwykle oparzenie w palec było niczym w porównaniu do tego, a tu, przy najmniejszym ruchu, rany pogłębiały się jeszcze bardziej. Codrisd ukląkł przy stalkerce i położył jej dłoń na głowie. Była cała rozpalona. Nie miała już siły krzyknąć.

– Wybacz mi, moja droga.

Codrisd sprawnie podniósł dziewczynę na rękę, samemu krzywiąc się na dźwięk jej krzyków rozpaczy. Pobiegnął w stronę swojej ekipy.

– AAACH! Weź... ARTEFAKTY!

Zatrzymał się w miejscu. Artefakty? Rzeczywiście, coś połyskiwało w trawie.

– WEŻ... JEEE...

Dłoń Fluttershy zacisnęła się na kołnierzu Codrisda. Zawahał się na moment, w końcu jednak położył delikatnie stalkerkę z powrotem na trawie i podbiegł do błękitnych kul. Nie było czasu. Zagarnął każdą po kolei, upychając je siłą do kieszeni. Wrócił, bujając spodniami wypchanymi jedną z najcenniejszych rzeczy na świecie.

– Wytrzymaj jeszcze trochę... – szepnął, znów próbując wziąć ją na rękę.

Omali się nie zachwiał na nogach. Zemdliło go jak tuż przed emisją. Jednak nie podejrzewał emisji. Niebo powinno już jaśnieć różem, chmury wirować, wiatr dąć, a z niebios trąbić coś na wzór anielskich chórów, zwiastujących koniec świata. Z trudem utrzymał stalkerkę na rękach. Musiał wytrzymać tę migrenę. Musiał.

Biegł, nie oglądając się za siebie. Jednak zaczęło dziać się coś bardzo dziwnego. Ciało Fluttershy w pewnym momencie straciło swoją delikatność i pozorną kruchość. Nie dotykał już jej skóry, a gęstego włosia, jakby natychmiast nim obrosła. Spojrzał na jej półotwarte usta, w których coś się ruszało, coś zaczęło wypełzać. Najpierw jedna noga, potem druga, a za nią główka i cała reszta pająka większego od dłoni. Krzyknął. Chciał odrzucić od siebie ciało dziewczyny, jednak to przecież była Fluttershy. Odrzucił ją dopiero wtedy, gdy zaczęła się rozszczeniać. Rozsypywać na pomniejszych istoty. Całe jej ciało przeistoczyło się w pająki. Kawalki Fluttershy odklejały się od siebie, formowały i obrastały włosiem. Pająków przybywało, góra ruchliwych stworzeń rosła w zastraszającym tempie. Z pajęczej masy wyłonił się ogromny łeb z setkami pomarańczowych oczu, błyszczących jak kamienie szlachetne. Iluzjonista.

– Mmm... nareszcie. – Rozbrzmiał brzęczący głos w umyśle Codrisda.

Wszystkie inne pająki zniknęły. Pozostał tylko jeden, ogromny, ruszający się jak żywa góra. Iluzja? Przecież według Polipiusa nie powinien zostać zahipnotyzowany.

– Żaden człowiek nie może się ze mną równać. Tak, znam twoje myśli, człowieczku.

– Iluzjonista pochylił się nad Codrisdem, rzucając na niego głęboki cień. – I odbiorę to, co zostało mi zabrane. Ale najpierw, złożysz mi to dziewczę w ofierze!

Pająk wyciągnął jedno ze swoich długich odnóży i trącił Fluttershy, która leżała, jęcząc i piszcząc cicho. Codrisd dopiero wtedy ocknął się i dostrzegł ją tuż przy sobie. Żyła.

Nie przekształciła się w pająki. Znowu iluzja. To wszystko, co zobaczył przed chwilą było jedynie halucynacją. Sam nie wiedział już, co było prawdziwe, a co nie. Wiedział jedynie, że nie mógł pozwolić sobie na poddanie się i złożenie Fluttershy w ofierze.

– Pospiesz się! – ryknął głos, echem zanosząc się w jego umyśle. Ten jednak nie zareagował. Spuścił wzrok. Powoli sięgnął ręką za plecy. – Co ty...

Iluzjonista nie dokończył, widząc szybko wyjętą wycelowaną w swoją stronę lufę granatnika. Odpelźł nieco, podniósł jedno z odnóży, aby zaatakować. Nie zdążył. Wystrzelony granat eksplodował odłamkami tuż przed nim. Pajęczak odleciał w tył. Spadł na grzbiet parę metrów dalej, z pyskiem zaorany krwistymi bruzdami, z których ściekała żółtawa breja.

– Muszę szybko się podnieść!

Codrisd słyszał paniczne krzyki pająka, wymachującego przed nim wszystkimi kończynami, tak, jakby nie mógł z powrotem stanąć jak przewrócony na skorupę żółw. Iluzjonista poniósł się po chwili. Nie zobaczył różowowłosej dziewczyny ani jej towarzysza. Stał tam Polipius, z jednym okiem zamkniętym, a drugim otwartym, wpatrującym się prosto w pająka; tym, które sobie przywłaszczył od Iluzjonisty. Codrisd, niosąc Fluttershy, przebiegał po łuku, aby wyminąć pajęczaka z pewnej odległości. Nie posiadał granatnika. Nigdy go tutaj nie przyniósł. Iluzjonista zrozumiał to, gdy spostrzegł brak jakichkolwiek obrażeń na swoim ciele. Iluzja.

– Jak... – zastanawiał się pająk, nie spuszczać z oczu Polipiusa. – Jak udało ci się mnie zahipnotyzować?

– Po prostu odsłoniłaś się na atak, moja droga – uśmiechnął się drwiąco. – Od razu zaatakowałaś moich znajomych, zamiast najpierw zająć się mną.

– No to mam nadzieję, że cieszysz się ze swojego osiągnięcia, bo już nic więcej cię nie czeka. Oprócz śmierci.

Pająk wyprostował się, rozciągnął kończyny. Potężne odnóże spadło na Polipiusa, rozsmarowało go na breję. Krwawa plama, która pozostała ze stalkera, zniknęła jednak chwilę potem. Iluzja, znowu iluzja. Gałki oczne Iluzjonisty obracały się na wszystkie strony. *Gdzie on jest? Gdzie? Co się tutaj dzieje?*

– Wiesz, jesteś rozumnym stworzeniem. Moglibyśmy się jakoś dogadać.

Tuż za mną!

Pająk odwrócił się błyskawicznie, jednak nie dostrzegł tam Polipiusa. Rozzłoszczony tupnął kończynami, wzniecając tumany pyłu i lekkie trzęsienie. Nogogłaszczki zaklekotały. Potwór zawył, obryzgując wszystko przed sobą gęstym śluzem, kapiącym z jego paszczy.

– Dlaczego tak bardzo nienawidzisz ludzi? – Głos rozbrzmiał tuż nad łbem Iluzjonisty.

– Przez takich padalców jak ty, nienawidzę ich jeszcze bardziej!

– Ty nie zjadłaś swojego męża. To stalkerzy go upolowali.

– Skąd wiesz?! A może brałeś w tym udział?!

Pająk nie mógł przestać się obracać, wykręcać dziesiątek oczu we wszystkich kierunkach, aby tylko dojrzeć swój cel. Źródło głosu zmieniało się za każdym razem, gdy tylko Iluzjonista próbował spojrzeć w jego kierunku.

To bez sensu.

– Przykro mi z tego powodu. Ale nie możesz nienawidzić wszystkich ludzi tylko dlatego, że jedna jej grupa wyrządziła ci krzywdę. Tamta dziewczyna przecież nic ci nie zrobiła.

– Nie chcę tego słuchać! Lepiej pokaż się i zakończmy to wreszcie!

Wreszcie go dostrzegła. Przed nią, stojący jakieś parędziesiąt metrów. Iluzjonista zaklekotał szczypcami jeszcze szybciej i zaszarżował. Osiem grubych jak pnie drzew kończyn ugięło się, a następnie wyrzuciło potężne ciało pajęczaka do góry. Iluzjonista mknął ku stalkerowi. Rozłożył kończyny, wyglądając jak mroczna gwiazda. Obnażył kły, wyglądające jak dwa czarne sztylety. Polipius odskoczył. Potężne cielsko spadło tuż przed nim. Wszystko zatrzęsło się wokół. Dziesiątki oczu skupiało się na Polipiusie, wodziło wzrokiem za strumieniem spływającej krwi, kapiącym z klatki piersiowej stalkera. Nie mógł się już ruszyć. Wysunięte kły pająka przebiły jego tors.

– Możesz jeszcze się zmienić... – wystękał stalker, kładąc dłoń na jednym z kłów.

– Nie! Przegrani nie mają nic do gadania. A ty już nie żyjesz!

– Tak sądzisz? – spytał z drwiną. Druga dłoń Polipiusa ścisnęła coś, co Iluzjonista miał już okazję kiedyś zobaczyć. Granat błyskowy. Szybkie odbezpieczenie. Iluzjonista zawył, gdy ściana światła uderzyła w jego oczy. Rozszalały pająk miotał się na wszystkie strony.

– Nie dajesz mi wyboru.

Ten głos. Jego brzmienie doprowadzało pająka do wrzenia. Mroczki przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany.

Kiedy się to wreszcie skończy – myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie. Musiał go wreszcie zabić. Wyobrażał sobie jak wspaniale będzie rozerwać go na strzępy, zamienić go w taką samą krwawą breję jak we wcześniejszej iluzji.

Ruszył do przodu, zamachnął się. Polipius przeturlał się pod pędzącą kończyną, ocierając się o gęste włosiwo. Gęba Iluzjonisty nadymała się. Wystrzelił z niej strumień białej, obślizgłej mazi, oblepiając wszystko wokół. Stalker wyginał się i odskakiwał. Wirujące w powietrzu strzępy gęstej substancji szybko twardniały i przybierały bardziej zwartą konsystencję. Pajęcza sieć.

A więc potrafi nią strzelać z paszczy – pomyślał Polipius, gdy wdepnął prosto w pajęczynę. Pająk słyszał jego myśli. Mroczny stalker ciągnął za swój but, próbując się wydostać. Było już za późno. Kły rozpostarły się tuż nad nim. Gęsta ślina spływała po karku stalkera tuż przed tym, jak Iluzjonista zakleszczył zęby na szyi Polipiusa i oderwał jego głowę.

Krwi było naprawdę dużo. Wylewała się jak z zepsutego hydrantu. Fontanna posoki obryzgała oczy Iluzjonisty. Znów niczego nie widział. Zachwiał się i upadł.

– Nie dajesz mi wyboru.

Ten głos. Jego brzmienie doprowadzało pająka do wrzenia. Mroczki przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany.

Kiedy się to wreszcie skończy – myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie. Musiał go wreszcie zabić. Wyobrażał sobie jak wspaniale będzie rozerwać go na strzępy, zamienić go w taką samą krwawą breję jak we wcześniejszej iluzji.

Ruszył do przodu, zamachnął się. Polipius przeturlał się pod pędzącą kończyną, ocierając się o gęste włosiwo. Gęba Iluzjonisty nadymała się. Wystrzelił z niej strumień białej, obślizgłej mazi, oblepiając wszystko wokół. Stalker wyginał się i odskakiwał. Wirujące w powietrzu strzępy gęstej substancji szybko twardniały i przybierały bardziej zwartą konsystencję. Pajęcza sieć.

A więc potrafi nią strzelać z paszczy – pomyślał Polipius, gdy wdepnął prosto w pajęczynę. Pająk słyszał jego myśli. Mroczny stalker ciągnął za swój but, próbując się wydostać. Było już za późno. Kły rozpostarły się tuż nad nim. Gęsta ślina spływała po karku stalkera tuż przed tym, jak Iluzjonista zakleszczył zęby na szyi Polipiusa i oderwał jego głowę.

Krwi było naprawdę dużo. Wylewała się jak z zepsutego hydrantu. Fontanna posoki obryzgała oczy Iluzjonisty. Znów niczego nie widział. Zachwiał się i upadł.

– Nie dajesz mi wyboru.

Co tu się dzieje?

Mroczi przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany.

Znowu to samo – myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie. Musiał go wreszcie zabić. Wyobrażał sobie jak wspaniale będzie rozerwać go na strzępy, zamienić go w taką samą krwawą breję jak we wcześniejszej iluzji.

Ruszył do przodu, zamachnął się. Polipius przeturlał się pod pędzącą kończyną, ocierając się o gęste włosiwo. Gęba Iluzjonisty nadymała się. Wystrzelił z niej strumień białej, obślizgłej mazi, oblepiając wszystko wokół. Stalker wyginał się i odskakiwał. Wirujące w powietrzu strzępy gęstej substancji szybko twardniały i przybierały bardziej zwartą konsystencję. Pajęcza sieć.

A więc potrafi nią strzelać z paszczy – pomyślał Polipius, gdy wdepnął prosto w pajęczynę. Pająk słyszał jego myśli. Mroczny stalker ciągnął za swój but, próbując się wydostać. Było już za późno. Kły rozpostarły się tuż nad nim. Gęsta ślina spływała po karku stalkera tuż przed tym, jak Iluzjonista zakleszczył zęby na szyi Polipiusa i oderwał jego głowę.

Krwii było naprawdę dużo. Wylewała się jak z zepsutego hydrantu. Fontanna posoki obryzgała oczy Iluzjonisty. Znow niczego nie widział. Zachwiał się i upadł.

– Nie dajesz mi wyboru.

To niemożliwe...

Mroczi przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany. *Co tu się dzieje*, myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie. Musiał go wreszcie zabić.

Ruszył do przodu, jednak tym razem nie zaatakował jedną ze swoich kończyn. Polipius stał w miejscu. Gęba Iluzjonisty nadymała się. Wystrzelił z niej strumień białej, obślizgłej mazi, oblepiając wszystko wokół. Stalker wyginał się i odskakiwał. Wirujące w powietrzu strzępy gęstej substancji szybko twardniały i przybierały bardziej zwartą konsystencję. Pajęcza sieć.

A więc potrafi nią strzelać z paszczy – pomyślał Polipius, gdy wdepnął prosto w pajęczynę. Pająk słyszał jego myśli. Mroczny stalker ciągnął za swój but, próbując się wydostać. Było już za późno. Kły rozpostarły się tuż nad nim. Gęsta ślina spływała po karku stalkera tuż przed tym, jak Iluzjonista zakleszczył zęby na szyi Polipiusa i oderwał jego głowę.

Krwi było naprawdę dużo. Wylewała się jak z zepsutego hydrantu. Fontanna posoki obryzgała oczy Iluzjonisty. Znow niczego nie widział. Zachwiał się i upadł.

– Nie dajesz mi wyboru.

Nieeee...

Iluzjonista podniósł się powoli na nogi. Nie wiedział, co się dzieje. Cały czas to wszystko było iluzją? Ale dlaczego to wszystko się powtarza? To nie powinno tak działać.

Pająk tupnął wściekle kończynami. Jego kły odruchowo się wysunęły.

Muszę przerwać to błędne koło! Pozostanę w miejscu...

Tym razem to Polipius ruszył do akcji. Biegł prosto na pająka.

– No dawaj! No chodź tutaj! – wrzeszczał Iluzjonista.

Stalker skoczył. Czarne kły przecięły w powietrzu lecącego Polipiusa. Trafione ciało rozpadło się na dwie części, wybuchło, obryzgując wszystko wokół posoką. Krew zalała oczy pająka, oślepiając go ponownie. Wymachiwał kończynami po omacku. Zachwiał się i upadł.

– Nie dajesz mi wyboru.

Tym razem gniew Iluzjonisty zaczął ustępować. Mutanta ogarnął strach. Wszystko powtarzało się nieustannie. Wszystko prowadziło do dokładnie tego samego końca, który jednocześnie stawał się początkiem.

Mroczki przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany.

Co ja mam robić? – myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc zmysły. Nie mógł zabić stalkera. To wszystko nie miało sensu. Uciec? To chyba była jedyna opcja.

Iluzjonista przyłapał się na myśleniu o tym, że musi go wreszcie zabić, na wyobrażaniu sobie jak wspaniale będzie wreszcie rozerwać go na strzępy, zamienić go w taką samą krwawą breję, jak we wcześniejszej iluzji.

– Dostyc tego! – potwór zawył i odwrócił się od stalkera.

Jednak tuż za nim stał kolejny Polipius. Pająk szybko zerknął w kierunku, gdzie przed chwilą stał ten stalker, ale już go tam nie było.

– Wynoś się!

Ruszył do przodu, zamachnął się. Polipius przeturlał się pod pędzącą kończyną, ocierając się o gęste włosiwo. Iluzjonista przeskoczył nad stalkerem. Zaczął czym prędzej pełzać, przebierając nogami w pośpiechu, żeby tylko wydostać się z tego błędnego koła. Kątami oczu widywał wielu Polipiusów, których nieustannie mijał. Jeden z nich zastąpił mu drogę, otworzył nienaturalnie szeroko swoje usta, z których wystrzelił strumień białej,

obślizgłej mazi, oblepiającej wszystko wokół. Iluzjonista wyginał się i odskakiwał. Wirujące w powietrzu strzępy gęstej substancji, szybko twardniały i przybierały bardziej zwartą konsystencję. Pajęcza sieć.

A więc potrafi nią strzelać z paszczy – pomyślał Iluzjonista, gdy wdepnął prosto w pajęczynę. Ciągnął za jedną ze swoich unieruchomionych kończyn, próbując się wydostać. Było już za późno. Polipius rozpostarł kły niemniejsze niż te u Iluzjonisty. Gęsta ślina spływała po grzbiecie pająka, zanim stalker zakleszczył zęby i oderwał mu głowę.

– Nie dajesz mi wyboru.

Niech to szlag!

Znów wszystko wróciło do punktu wyjścia. Mroczki przed oczami Iluzjonisty powoli zanikały, przez co mógł dostrzec Polipiusa, stojącego przed nim, tak po prostu, jakby wszystko mu było jedno. Z jego klatki piersiowej zniknęły potworne rany.

Kiedy się to wreszcie skończy? – myślał Iluzjonista, coraz bardziej tracąc nad sobą panowanie. Musiał go wreszcie zabić. Wyobrażał sobie jak wspaniale będzie wreszcie rozerwać go na strzępy, zamienić go w taką samą krwawą breję, jak tamta we wcześniejszej iluzji.

Nie dajesz mi wyboru. Nie dajesz mi wyboru. Nie dajesz mi wyboru. Nie dajesz mi wyboru.



Iluzjonista nie poruszał się. Stał jak posąg przed Polipiusem, wpatrzony w pustkę. Po drugiej stronie całego miejsca zdarzeń, gdzie postanowili się zatrzymać stalkerzy z Wolności, Codrisd z ledwo żywą Fluttershy na rękach dobiegł akurat do budzących się ze snu ofiar iluzji wielkiego pająka. Wyglądało na to, że cokolwiek się stało, dało to rezultaty w postaci rozproszenia wcześniejszego uroku. Iluzjonista został pokonany. Codrisd nie miał pojęcia, jak do tego doszło; z jego perspektywy wszystko trwało zaledwie parę sekund, po czym Polipiusowi udało się spetryfikować pająka. Nie mógł być świadkiem całego starcia, które rozegrało się na zupełnie innym poziomie niż rzeczywisty.

Stalkerzy wstawali, rozglądali się otępiąłym wzrokiem po sobie. Nikt nie wiedział, do czego doszło. Codrisd kazał jednemu ze swoich towarzyszy rozłożyć koc, po czym ułożył zemdlałą Fluttershy na brzuchu, aby przypadkiem nie uszkodzić jeszcze bardziej jej ran na

plecach, które i tak zdążyły już na nowo popękać. Jej zmęczenie musiało być jeszcze większe niż ból, który z pewnością niejednego doprowadziłby do szaleństwa.

– Pilnujcie jej! – rozkazał Codrisd, pospiesznie wycierając zakrwawione dłonie w spodnie.

– A... a ty dokąd? – spytał zdezorientowany Dżuma. Nie doczekał się odpowiedzi. Jego towarzysz popędził z powrotem, nie tracąc czasu na odpowiadanie. Przecież Dżuma zaraz i tak sam zobaczy dokąd biegnie. Noc powoli przemijała, sprawiając, że niebo z głębokiej czerni, naznaczonej jedynie lśniącoymi gwiazdami jak również pełnią księżyca, przybierało barwę zimnej stali. Żadnego słońca na horyzoncie; jedynie zwiastun kolejnego dnia.

Polipius krzyknął żałościwie, jakby ktoś przebił go rozżarzonym prętem. Upadł i przykrył swoje pomarańczowe oko dłonią, spod którego spływały stróżki krwi. Stęknął parę razy przez zaciśnięte zęby, wbijając zaciśnięte palce w ziemię. Przetoczył się ciężko na kolana, oddychając głęboko, pochylony do przodu. Czerwona posoka wypływała rytmicznie spod jego oczodołu. Widział to drugim okiem doskonale; czerwone kleksy pod nim brukały ziemię w szybkim tempie.

Codrisd dobiegł do niego, jednak, podobnie jak w przypadku Fluttershy, postanowił najpierw się przyjrzeć swojemu wybawcy, sprawdzić jego ewentualne obrażenia. Gdyby nie ten mroczny stalker, wszyscy już do tej pory staliby się ofiarami Iluzjonisty. Nawet nie zdążyliby się zorientować w sytuacji, a byłiby martwi.

– Co ci się dzieje? – spytał Codrisd, kłękając do cierpiącego Polipiusa. Na wszelki wypadek obejrzał się jeszcze parę razy na Iluzjonistę, który wyglądał jak potworna figura woskowa, gotowa do ostatecznego uderzenia, wyciągająca swe kończyny w kierunku ofiary.

– Nie jestem pewien... – wycedził, zaciskając mocniej dłoń na twarzy. Spomiędzy palców ściekała krew. – Chyba... nadużyłem tego oka...

– No to... Wiesz jak to wyleczyć? – spytał pospiesznie Codrisd, jednak nie otrzymał odpowiedzi.

– Sprawdź... – Polipius powoli, trzęsącą się ręką, odsłonił swoje oko. – Sprawdź... w jakim jest stanie...

Wcześniej pomarańczowe ślepie, błyszczące jak kamień szlachetny, większe od ludzkiej gałki ocznej, teraz naznaczone było siecią pulsujących naczyń krwionośnych, które pękały raz za razem.

– No nie wygląda to zbyt dobrze... wszędzie widzę żyłki, oko jest napuchnięte, jakby miało zaraz eksplodować...

– Oj, kurwa, uwierz mi, że tak to właśnie czuję... Nie mam innego wyboru.

– Co ty chcesz zrobić?

– Muszę się pozbyć tego oka.

Codrisd przełknął głośno ślinę.

– Chcesz je usunąć?

– Tak, do kurwy nędzy. Możesz nie powtarzać rzeczy, które już powiedziałem? – burknął, po czym znów syknął z bólu, kuląc się jeszcze bardziej.

– Mogę ci jakoś pomóc?

– Daj mi nóż. Szybko, bo nie zniosę już tego...

– Jesteś pewien? Przecież możesz się uszkodzić, pogorszyć ten stan...

– Tak, jestem pewien! Nie pierdoł, tylko dawaj mi ten zaszrany nóż!

Codrisd poklepał się po kieszeniach, tak jakby w jednej chwili zapomniał, gdzie poupychał wszystkie swoje rzeczy, aż wreszcie natrafiły na znajomy kawałek stali, z którym zdążył się już zaprzyjaźnić. Nie zdążył go wręczyć Polipiusowi, gdyż ten wyrwał go mu i bez ociągania przyłożył sobie do pulsującego oka. Codrisd nie chciał na to patrzeć. Wbił wzrok w ziemię, zaciskając zęby i powieki, jakby sam czuł ból towarzyszący temu stalkerowi. Żałował, że nie zatkał uszu. Mokry dźwięk wrywanej gałki ocznej, brzęmiący podobnie do wyciskanej gąbki, znacznie bardziej działał na wyobraźnię niż samo zobaczenie tego.

– Żyjesz?! – krzyknął Codrisd, aby zagłuszyć tę operację.

– Taaak... – W jego głosie można było usłyszeć ulgę. Stalker spojrzał na niego. Potworny grymas bólu zniknął w twarzy stalkera. Pusty oczodół zasłonił dłonią. – Ale dalej boli jak skurwysyn. Musimy się dostać do jakiegoś szpitala polowego, bo sprawa nie jest załatwiona.

– A co z tym? – Codrisd wskazał na Iluzjonistę.

– Nic. Została uwięziona. We własnym umyśle.

– Jak to?

– Po prostu rzuciłem na nią iluzję pod postacią pętli. Będzie bez końca przeżywać wciąż te same wydarzenia.

– Więc rozumiem, że nie stanowi już zagrożenia.

– Nie stanowi – zawtórował mu Polipius. – Ale obawiam się, że ten mroczny stalker, którego wcześniej złapałem, zdołał się wymknąć. Pewnie się wycofał, gdyż był osłabiony, ale z pewnością wróci. Znam go, w końcu był moim partnerem.

– Partnerem? – spytał Codrisd, pomagając wstać Polipiusowi na nogi.

– Tak... każdy z nas chodził dwójkami, co jakiś czas zmienialiśmy swoich towarzyszy. Miało to zredukować ryzyko porażki, jaką odniósł Magister, który porwał się sam na misję.

– Magister? Mamy go związanego.

– To dobrze. Jego ciało przyda się wam, aby odkryć sekrety mrocznych stalkerów, których ja nawet nie znam.

– Powinniśmy zabrać ze sobą te oczy potwora? Mogą być cenne...

– Jak chcecie, to możecie to zrobić – oznajmił Polipius. – Ale tylko jedna osoba jest w stanie przeszczepić je człowiekowi. W każdym razie, możecie zebrać jakieś próbki... Mnie to już nie obchodzi.

– Nie mamy za bardzo miejsca, żeby przewieźć taki kawał bestii, ale damy znać stalkerom z Wolności.

Codrisd zaprowadził Polipiusa do reszty stalkerów, oczekujących na nich z wyrazem twarzy, który wyrażały chęć zadania wielu pytań.

– Później – westchnął zmęczony, po czym nakazał innym zebrać się i wyruszyć do auta. Ten, który czuł się najbardziej na siłach miał prowadzić samochód. Na szczęście Dolina Mroku była już blisko. Na tak równej drodze, biorąc pod uwagę standardy Zony, zajmie to dziesięć minut..

Najwięcej miejsca poświęcono Fluttershy, wciąż nieprzytomnej, oraz Polipiusowi, który jednak zgodził się na normalne miejsce siedzące, oddając innym więcej przestrzeni.

– Tak i tak będę cierpieć – burknął ze zmarnowaną twarzą. – Mogę se posiedzieć. Nie muszę leżeć jak wydymana kurwa.

Silnik zawył, reflektory błysnęły, by następnie dwa samochody mogły potoczyć się niespiesznie po zaoranym asfalcie. Przez całą podróż panowała cisza. Kierowca w skupieniu omijał co większe dziury, od czasu do czasu wzniesając turbulencje, a czarne kształty drzew na tle stalowego nieba, przewijały się spokojnie za oknem, podobnie jak reszta krajobrazu.

– Dobrze, że zmierzamy już prosto do w miarę bezpiecznego miejsca – mruknął Żwawy siedzący na tylnym siedzeniu wraz z Sunset, która sennie oparła się o niego.

– Mhm – odparła, przymykając oczy.

Jednak wypatrując czegokolwiek na horyzoncie, poza setkami gołych koron drzew, nie mógł zapomnieć o Czystym Niebie i o tym, do czego tam doszło. Przecież tam też miało być bezpiecznie. A jak się to wszystko skończyło?

Mocniej przytulił do siebie Sunset. W duchu modlił się o spokojny przebieg reszty podróży.

– Musisz ją bardzo kochać, prawda? – przyznała Deliktywa, patrząc na nich z przedniego siedzenia.

– Co ci do tego? – spytała ognistowłosa.

Burdelmama odchyliła głowę w tył, niemal nie wybuchając śmiechem.

– Nic. Tylko stwierdzam fakt. Nie nadymaj się tak.

– A ty się nie wtrącaj...

– Sunset... – mruknął zmęczonym głosem Żwawy. – Daj spokój. Ona jest naszym sprzymierzeńcem. Nie wrogiem.

– Jakoś jej nie wierzę.

– Gdyby nie ona, Fluttershy już by była martwa.

– Oczywiście – uśmiechnęła się zalotnie Deliktywa. – Cóż, przypomnę ci, że gdybym nie zapewniła tym wojakom z Wolności darmowego miesiąca pieprzenia w burdelu, to nie puściliby Codrisda, a on nie uratowałby Fluttershy przed anomalią. Więc to też tak jakby moja zasługa.

– No, zajebicie... – burknęła Sunset.

Dalsza droga przebiegła bez większych ekscesów.



Gdy przybyli do Doliny Mroku, od razu wszyscy skierowali się do centrum dowodzenia Wolności, które mieściło się w liceum Canterlot. Jakie to było dziwne; widzieć mury swojej dawnej szkoły, wyniszczone, spopielone przez dziesiątki emisji, które zdawały się nie oszczędzać niczego, co trzymało się podłoża. Sunset rozglądała się z nostalgią po wszystkim wokół. Stawiała kroki po dokładnie tym samym brukowanym chodniku, którym to miała w zwyczaju udawać się na lekcje. Wszędzie włóczyli się stalkerzy, patrolowali obszar z bronią w ręku, odwiedzali stoiska handlarzy lub przysiadali się do swoich kompanów, zgromadzonych wokół ognisk. Wszystko wokół pędziło tempem znacznie wolniejszym, spokojniejszym niż w pozostałych częściach Zony. Przypominało to poniekąd świat zewnętrzny, gdzie można było spotkać większe skupiska ludzi załatwiających swoje sprawy.

Sunset westchnęła. Zmieniło się tak wiele, jakby minęły wieki, a nie sześć lat.

Codrisd, padnięty i wyczerpany jak reszta ekipy, stawiał się przed obliczem Lokiego, swojego dowódcy, aby złożyć raport i wyjaśnić przebieg całej misji krok po kroku. Skończyło się na tym, że Loki stanowczo uniósł rękę do góry, przerywając tym samym bełkot ze strony swojego podwładnego, i rozkazał wszystkim udać się na spoczynek. Fluttershy oraz Polipius trafili do lecznicy, natomiast Magistra zakuto w łańcuchy i wrzucono do izolátky pilnowanej przez dwóch strażników. Jego oderwaną kończynę przekazano naukowcom Wolności, którzy z pewnością bardzo czekali na podobny okaz *dziwności* ze strony Zony. Pozostało jedynie zakwaterować się i odpocząć po wszystkim...

Sunset, Żwawy oraz Młody dostali jeden z pokoiów w jednym z budynków znajdujących na szkolnym kampusie. Mogli sobie to zapewnić, gdyż pieniądze pozyskane z artefaktów zdobytych z elektry stanowiły sporą sumkę. Żwawy, od razu po dotarciu do ich własnego pomieszczenia, poczuł się lepiej. Wreszcie miał pod sobą kawałek swojej własnej podłogi, gdzie będzie mógł wypocząć tyle, ile będzie chciał. Bez namysłu rzucił się na jeden z materaców, jednak nie poleżał na nim zbyt długo. Sunset nakazała mu wstać i pomóc przy porządkach.

– Ale co ty chcesz tu sprzątać, jak tu prawie niczego nie ma! Ledwie parę starych materaców i jakieś krzeselka ze stolikiem, a tak to pokój jest pusty!

Żwawy wskazał okrężnym ruchem ręki na pomieszczenie, które jak najbardziej było niemal pozbawione jakiegokolwiek zawartości. Musiało kiedyś służyć za klasę; na przeciwległej ścianie widniały ślady po wyrwanej tablicy, połamane ławki wraz z krzesłami poskładano i przykryto płachtą, aby następnie przesunąć to wszystko w cień, a do kąta ktoś wcisnął szklane gabloty, w których wciąż znajdowały się pożółkłe rysunki dzieci. Aż dziw brał, że do tej pory tam tkwiły.

– No musimy tu zrobić przemeblowanie! – powtórzyła się Sunset, kaszląc parę razy od wirującego wokół kurzu.

– Kobieto, ogarnij się! Uniknęliśmy śmierci chyba z pięćset razy, a ty się przejmujesz jakimiś głupotami! Weź się połóż...

– Nie! – odpowiedziała stanowczo, odwracając się w jego kierunku energicznie, jak żołnierz podczas musztry. – Skoro mamy się tu zatrzymać, to musimy tu zaprowadzić jakiś porządek. I lepiej mi pomóż, bo tym razem nie unikniesz śmierci!

– O mój Boże... – jęknął Żwawy, chwytając się za głowę i niechętnie zwlekając z materaca, który w tamtym momencie był tak niesamowicie wygodny.

Następnie Sunset wygłosiła całą litanię na temat tego, jakie zasady będą obowiązywać podczas ich pobytu w Dolinie Mroku. Po pierwsze; Żwawemu nie wolno było brać udziału w

zakładach czy bójkach w klubie walki, gdzie urządzano turniej pięściarstwa, po drugie; nie wolno mu było wydawać pieniędzy na alkohol i wracać po zmroku, oczywiście zawsze musiał zgłaszać swoje wyjścia, po trzecie, co wyraziła bardzo dosadnie; miał obowiązek trzymać się z dala od burdelu, przynajmniej w promieniu jakiś trzystu metrów.

– No to brawo – burknął Żwawy, kończąc przesuwając jeden z materaców pod okno. – Żeby się trzymać te trzysta metrów z dala, to musiałbym spać poza tym obozem...

– Hmm... pomyślimy nad tym... – mruknęła Sunset, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Co cię tak nagle napadło, co? Masz jeszcze siłę po tym wszystkim odwalać coś takiego?

– Och, Żwawy – Tym razem powiedziała to czule, kierując na niego swoje zatroskane oczy. – Ja po prostu martwię się o ciebie.

– Jak to? Okres masz?

– Nie pozwolę, żeby ta ździra Deliktywa cię zmanipulowała. Ja dobrze wiem, kim ona jest i widziałam, jak ci się przygląda. Zupełnie tak, jakby innych chłopów nie było. Jestem pewna, że ona kombinuje coś niedobrego!

– Pani Deliktywa? Ja też ją znam. Nie jest wcale taka zła... – Żwawy od razu pożałował tego, co właśnie powiedział.

– Pani Deliktywa? A czemuż to tak do niej mówisz, co?

– No... bo... wszyscy tak do niej mówią?

Sunset prychnęła.

– Wielka mi "Pani". Pewnie taka sama kurwa jak jej dziewczyny.

Żwawy złapał się za głowę już ósmy raz w ciągu ostatnich dziesięciu minut i pospieszył w kierunku drzwi.

– A ty gdzie idziesz? – spytała podejrzliwie stalkerka.

– Na spacer.

– No i co? Nie zabierzesz swojej kobiety?

– Nie.

Zatrzasnął drzwi.

Rany, ona to potrafi być irytująca...

Żwawy potarł swoje czoło, spiesząc pustym korytarzem szkolnym, zupełnie nie zwracając uwagi na wyniszczone wystawy przedstawiające wyblakłe zdjęcia, dyplomy za osiągnięcia uczniów, wiszące za popękana szybą, czy przechodząc obok szafek szkolnych. Nie zmierzał w żadnym konkretnym kierunku; nie wiedział, gdzie chciałby się udać, ale z

całą pewnością wiedział, gdzie nie chciałby teraz przebywać. Klótnie z Sunset były teraz ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. I te oskarżenia, o to, że byłby skłonny udać się do burdelu na tanie dziwki? Za kogo ona go miała? A te wszystkie zakazy? Dlaczego niby ona miała je dyktować; jemu, stalkerowi, który umiał zadbać o siebie, na co dowodem było to, że przede wszystkim przeżył już trochę w Zonie.

Żwawy zatrzymał się. Był sam, a przynajmniej tak mu się wydawało.

– Kiepska sprawa... – powiedział do siebie.

Im bardziej się oddalał od Sunset, tym bardziej czuł, że źle zrobił. Nie, ona z pewnością nie chciała mu zrobić przykrości. Być może przesadzała, ale nie miała złych zamiarów. Martwiła się o niego. Cóż, można było to dostrzec w jej spojrzeniu. Trzeba było wysłuchać jej obaw, a nie trzaskać drzwiami tuż przed jej nosem. Ale dla Żwawego to był impuls, który nakazał mu uciec od źródła narastającej złości. Chociaż...

Westchnął ciężko.

Postanowił, że wróci i wysłucha wszystkiego, co będzie miała do powiedzenia Sunset. Pewnie nie będzie zadowolona. A co jeżeli ona tam płacze, pozostawiona samej sobie? Żwawy zbladł na samą myśl, że to on mógł być przyczyną tego stanu rzeczy. Chyba nie istniała rzecz bardziej przykra dla mężczyzny niż jego płacząca kobieta.

– Żwawy, już się o ciebie martwiłam!

Radosny, kobiecy głos od razu otrzeźwił go i wyrwał z zamyślenia.

– Pani Deliktywa? – spytał zaskoczony. Stała tuż za nim, zdecydowanie zbyt blisko, tak, że mógł poczuć jej oddech na karku.

– Oczywiście, że ja. – Błysnęła długimi, pomalowanymi na czarno paznokciami, łapiąc go za ramię i odwracając do siebie.

– Mów szybko, o co ci chodzi, bo wołałbym, żeby nie zobaczyła nas Sunset. Będzie jeszcze bardziej zła na mnie!

– Nie przejmuj się nią. Reaguje agresją, gdyż jest zazdrosna. Wie, że samym spojrzeniem jestem w stanie wytrącić faceta z równowagi.

– Nie mnie – mruknął Żwawy, odsuwając się od Deliktywy. – Sunset jest dla mnie najważniejsza.

Deliktywa zaśmiała się, ukazując swoje idealnie równe i śnieżnobiałe zęby.

– Nie oczekiwałam innej odpowiedzi.

– Taa... chciałbym, żebyś już przeszła do jakiś konkretów, a nie gadała bzdury.

Deliktywa udała zaskoczony wyraz twarzy.

– Och, nie podejrzewałam cię o taką gwałtowność, Żwawy! Już, tak od razu, na tym korytarzu chcesz przechodzić do konkretów?! – krzyknęła na cały korytarz.

Stalker rozejrzył się nerwowo na około. Nie mógł ukryć rumieńca, który wstąpił na jego twarz. To było silniejsze od niego. Odsunął się od kobiety ponownie i poprawił ubranie.

– Nie to miałem na myśli. Gadaj, czego ode mnie chcesz.

– Nie denerwuj się – jęknęła głosem miękkim niczym jedwab, mrużąc nieśmiało oczy.

– Przyszłam, aby przypomnieć ci o twoich obowiązkach agenta SBE. Mamy nowe wytyczne z góry. Od mojej mentorki.

– Od księżniczki Luny? Chcesz rozmawiać o tym tutaj, na korytarzu? – Gdy tylko Żwawy usłyszał o czym mowa, momentalnie ściszył głos. – To tak jakby trochę poufne dane, wiesz?

– Och, a więc chcesz iść ze mną do mojego gabinetu, który mieści się w burdelu? A co z Sunsetką?

Stalker westchnął, drapiąc się po szyi. Nienawidził tego, gdy mówiła w taki sposób. Rozerotyzowany, nasuwający dwuznaczne skojarzenia. Choć nie mógł tego ukryć i musiał niechętnie przyznać przed sobą, że jednocześnie mu się to podobało.

– Czym mamy się zająć? – spytał wreszcie.

– Już niedługo odbędzie zebranie najważniejszych ludzi w Zonie. Wolność i Powinność spotkają się w jednym miejscu, by negocjować warunki współpracy. To pierwsze tego typu wydarzenie w Zonie, więc musi być naprawdę źle, skoro odwieczni wrogowie chcą teraz współpracować przeciwko fanatykom. A twoim zadaniem będzie upewnienie się, że wszystko przebiegnie jak należy. Zinfiltrujesz struktury Monolitu, by dowiedzieć się, czy czegoś nie planują.

– Nie podoba mi się to... – przyznał. Na samą myśl jego twarz pobladła. – Raczej istnieją małe szanse, że wrócę stamtąd żywy.

– Żwawy – odparła chłodno Deliktywa, zapalając fajkę. – Przede wszystkim zapominasz o jednej z najważniejszych zasad; nie zadawaj pytań, tylko wykonuj polecenia dla dobra Służb Bezpieczeństwa Equestrii. Dla dobra naszej ojczyzny. I nie musi ci się to podobać. Ja też mam mieszane uczucia, ale to nie ma znaczenia.

– Więc, co teraz zrobimy?

– Ty najpierw idź porozmawiaj ze swoją lubą, wymyśl jakąś wymówkę, dzięki której będziesz mógł wyjść, a potem przyjdź do mnie.

Rozdział 9 – Droga ku Zonie, część 2

Rozdział 11 – Wolność i Powinność